

Barański  
Barcikowska  
Burgiełł  
Dalasiński  
Konecki  
Łapczyńska  
Małysa  
Nadolny  
Orzeł  
Paluszkiewicz  
Pantelewicz  
Pietrala  
Pijanowski  
Płatek  
Różewicz  
Staśko  
Szczypiorska  
Szteleblak  
Walczak  
Wleklik



# mikroMAKRO

Antologia  
krótkich form prozatorskich

**INTER-**



# **MIKROMAKRO**

---

**ANTOLOGIA KRÓTKICH  
FORM PROZATORSKICH**

Toruń 2016



# MIKROMAKRO

---

ANTOLOGIA KRÓTKICH  
FORM PROZATORSKICH

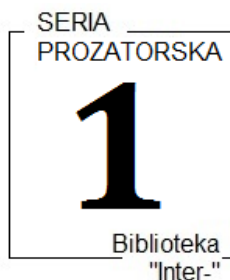
## REDAKCJA

Tomasz Dalasiński

Łukasz Grajewski

Rafał Różewicz

Aleksandra Szwagrzyk



© by BIBLIOTEKA „INTER-”. Seria prozatorska, t. 1

ISBN 978-83-944164-1-6

**Redakcja**

Tomasz Dalasiński  
Łukasz Grajewski  
Rafał Różewicz  
Aleksandra Szwagrzyk

**Korekta:** Aleksandra Szwagrzyk

**Skład i projekt okładki:** Tomasz Dalasiński

**Wydawca:**

„Inter-. Literatura-Krytyka-Kultura”  
Zakład Antropologii Literatury i Edukacji Polonistycznej  
Instytut Literatury Polskiej  
Uniwersytet Mikołaja Kopernika  
ul. Fosa Staromiejska 3  
87-100 Toruń



[www.PismoInter.wordpress.com](http://www.PismoInter.wordpress.com)

Niniejsza publikacja udostępniana jest na zasadach Open Access. Treści w niej zawarte mogą być swobodnie czytane, kopiowane, przechowywane, drukowane i wykorzystywane do celów naukowych oraz dydaktycznych zgodnie z prawem pod warunkiem nienaruszania intelektualnych i materialnych praw autorskich ich twórców i redaktorów.

# Spis treści

**12**

*Zamiast wstępu*

**15**

ZBIGNIEW BARAŃSKI

*Meduza*

**17**

MALINA BARCIKOWSKA

*Czasy dobro-bytu*

**24**

JOANNA BURGIEŁŁ

*Lustro*

**28**

TOMASZ DALASIŃSKI

*Księgi wyjścia*

**32**

MAREK KONECKI

\*\*\* *[Humor mam alternatywny...]*

**34**

ELŻBIETA ŁAPCZYŃSKA

*Nie podchodź za blisko*

**38**

MICHAŁ MAŁYSA

*Wodorosty*

**44**

PATRYK NADOLNY

*Kraina pęпка*

**46**

PAWEŁ ORZEŁ

*Sen nie 43.*



**50**

MICHAŁ PALUSZKIEWICZ  
*Ja, smutny sprzedawca*

**55**

KAROL PANTELEWICZ  
*Czyżby Latynos i porsche*

**59**

KRZYSZTOF PIETRALA  
\*\*\* *[Drewniane schody...]*

**62**

MAREK PIJANOWSKI  
*Janusz Rudnicki pisze list miłosny*

**65**

SŁAWOMIR PŁATEK  
*Kombinatoryka zbiorów skończonych*

**69**

RAFAŁ RÓŻEWICZ

*Pies heimatański (fragm.)*

**75**

MAJA STAŚKO

*Elżbieta II przyjechała do Rzymu  
w liliowym płaszczu i w udekorowanym  
kwiatami kapeluszu  
w podobnym odcieniu*

**77**

WANDA SZCZYPIORSKA

*Exodus*

**83**

ŁUKASZ SZTELEBLAK

*Orgia w Wydziale Geodezji*

**92**

EMILIA WALCZAK

*Rudbekie*

**101**

MAGDALENA WLEKLIK

*Dobrze z tobą pobyc sobą*

## Zamiast wstępu

Żyjemy w kulturze tweetu => TAK/NIE [wybierz właściwą opcję]. Żyjemy w epoce skrótu, przyspieszenia, w czasach słów ograniczanych jak zużycie energii ze źródeł nieodnawialnych.

Ćwierknij do mnie, proszę!

Żyjemy w epoce, w której im mniej, tym więcej, w której minimum to maksimum, a jutro jest dzisiaj. Jesteśmy wielcy swoimi małościami.

Ćwierknij do mnie!

Żyjemy w świecie, który skurczył się na tyle, że mieści się w naszych zamkniętych dłoniach.

Ćwierknij!

:

Mówiąc mniej, można powiedzieć więcej.

*Tomasz Dalasiński*

Jak powiedział kiedyś pewien Francuz, Wielka Narracja umarła. Nad jej grobem winniśmy chyba wygłosić przemówienie. Będzie ono jednak li tylko narracją małą.

Dzisiejsza narracja jest wątła, niebaczna, rozdwojona w sobie. Nie za bardzo wie, jak się zachować, z kim przestawać, a kogo unikać. Nie ma taty i mamy. Nie ma dziadków i wujków. Nie ma cioć i kuzynów. Nocuje na dworcach, śpi krótko i trwożnie. Nie pamięta swego imienia, nie obchodzi rocznic, nie obchodzi nikogo. Nie wpatruje się w przestrzeń. Nie ma kolegów, ale zwłaszcza nie ma koleżanek. Jest już tak skonfundowana, że na facebooku lajkuje własne posty.

W porównaniu z dawną narracją ta dzisiejsza wygląda jak gmina Mogilno przy stanie Teksas. Stara narracja była wszystkim, obecna jest przy niej niczym. Z drugiej strony, jak powiedziałaby Błażej – inny Francuz – w porównaniu z niczym mała narracja jest wszystkim.

Dlatego powinniśmy ją przygarnąć. Dać jej dach nad głową i coś ciepłego. Pozwolić jej. Na wszystko.

*Łukasz Grajewski*

Jak pisał kiedyś znany technofob – Neil Postman – kulturę druku zastąpiła kultura obrazkowa. Książki wydawane są już tak, aby ułatwić ich jak najszybsze przeczytanie, słowem: dzięki takiej a nie innej polityce wydawniczej, dzięki odpowiedniemu doborowi czcionki dzisiejsza lektura zaczyna przypominać oglądanie filmu. Co gorsza, oglądanie następujących po sobie obrazów nierzadko przestaje iść w parze ze zrozumieniem tego, co się ogląda. Czy, pisząc te słowa, jestem zwolennikiem męczenia się przy lekturze, jakiejś czytelniczej odmiany masochizmu? Otóż nie! Niechybnie mamy jednak do czynienia, w połowie drugiej dekady XXI wieku, z „memizacją życia”, ze sprowadzeniem kultury, polityki, życia społecznego do graficznej parodii, od której nie stronią internetowi komentatorzy, a która staje się jedynym narzędziem komunikacji między ludźmi – już nawet poza światem sieci. Czy to oznacza, że wszystko zaczęło być MEMEM? Skrótem, hasłem? Czy literatura to obecnie tylko bardziej rozbudowany obrazek? A może zaczyna być już niepotrzebna, bo jest zastępowana przez mniej wybredne i prostsze sposoby demaskacji rzeczywistości?

Nasza publikacja nie odpowiada wprost na te pytania. Niemniej, przedstawia różne sposoby na uprawianie literatury, w tym: różne typy narracji. Dziękując się z naszymi Czytelnikami tą książką – trochę na przekór trendom – chcemy sprawdzić, co zasialiśmy i co z tego zasiania wyrosło, ile procent pożytecznej literatury na jakże nieliterackiej, a coraz bardziej PROZAicznej, glebie. Oby wyrosło ponad te 37% czytających w Polsce; czego Czytelnikom i Autorom niniejszej publikacji serdecznie życzę.

*Rafał Różewicz*

Minimum to maksimum. Jedno słowo znaczy tysiąc innych, tysiąc słów może znaczyć wszystko. Wszystko – to może być za mało; mało to zawsze coś.

*Aleksandra Szwagrzyk*

---

Niniejsza książka, będąca zbiorem krótkich tekstów prozatorskich (ale co to są „krótkie teksty prozatorskie”? Czy to bardziej „proste formy” André Jollesa, „małe narracje” Mirona Białoszewskiego czy lapidarne opowiadania Lydii Davis?), powstała – w większości – jako pokłosie I Ogólnopolskiego Konkursu na Małą Formę Prozatorską „mikroMAKRO”. Na konkurs napłynęło sporo zgłoszeń, z których część postanowiliśmy nagrodzić, a nieco więcej opublikować w książce uroczycie otwierającej serię prozatorską Biblioteki „Inter-”. Do propozycji konkursowych dołożyliśmy kilka utworów „zamówionych”. W efekcie naszych działań powstała publikacja zawierająca teksty, których zasadniczy zwornik stanowi ich objętość – są to niewielkich rozmiarów utwory prozatorskie, ewentualnie: sytuujące się na pograniczu rodzajowym (gatunkowo nawet nie próbujemy ich dookreślać), o – naszym zdaniem – wysokiej wartości artystycznej.

Wychodzimy z założenia, że wielką literaturą jest zarówno *W poszukiwaniu straconego czasu* Prousta, jak i przypisywane Hemingway’owi ogłoszenie: „For sale: little shoes. Never worn”.

Przyjemnej lektury!

*Tomasz Dalasiński  
Łukasz Grajewski  
Rafał Różewicz  
Aleksandra Szwagrzyk*



## Zbigniew Barański

Ur. 1954. Ukończył studia na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, pracował jako policjant, obecnie na emeryturze. W roku 2000, razem z Jackiem Masłowskim, wydał tomik wierszy. W latach następnym warszawskie Wydawnictwo Nowy Świat wydało w formie e-booków trzy jego książki prozatorskie: *Pięć minut*, *Mały kraj* i *Ptaka, którego nie było*. Mieszka w Katowicach.

## Meduza

Siedziała w przedpokoju; trochę się podpierała ręką, była pochylona w bok, z uniesioną lekko głową, z twarzą trochę płacziwą, a trochę zastygłą, choć i wystraszoną, z oczami załzawionymi; nic nie mówiła; wpatrywała się w niego, w męża, który stał o trzy kroki od niej i chłodno się jej przyglądał.

Właśnie ją uderzył w twarz, ale lekko, płasko, bo nie mógł wytrzymać jej napastliwego zachowania. Od kilku dni piła. Nie, nie była agresywna. Ale nie dawała mu spokoju. Chodziła za nim krok w krok albo stała przy nim, coś bełkotała, miała jakieś do niego pretensje albo milczała, patrząc oczami zbitego psa. Nie reagowała na jego słowa, by dała mu spokój. Nie wytrzymał, kiedy otworzyła drzwi do ubikacji i stanęła w progu, a on siedział na sedesie. Nie chciała odejść, zamknąć drzwi. Nie wytrzymał. Wstał i uderzył ją w twarz, lekko, płasko, a po-tem ją odepchnął. Zamknął drzwi. A kiedy wyszedł, właśnie w przedpokoju siedziała, z jedną nogą wyciągniętą, a z drugą podkurczoną, podpierając się ręką i patrząc na niego załzawionymi oczami.

Dlaczego nie wstała? Czekala, by ją zobaczył, nieszczęśliwą, załamana, biedną?

Stał o trzy kroki od niej. Żal mu się jej zrobiło, ale wyraz twarzy mu się nie zmienił. Chłodno, uważnie się jej przyglądał. Gdyby była Meduzą – pomyślał – pewnie by go nie zabiła, gdy tak patrzył na nią. Wciąż go kochała. ...cierpiała.

Odszedł. A kiedy wyszedł z pokoju i powlókł się do kuchni, już jej w przedpokoju nie było. Pewnie gdzieś się położyła. Od kilku dni piła, potem kładła się, przysypiała.





# Malina Barcikowska

Absolwentka filozofii na UMK w Toruniu i SNS przy IFiS PAN w Warszawie. Krytyk sztuki i animatorka kultury. Laureatka I Nagrody I Ogólnopolskiego Konkursu na Małą Formę Prozatorską „mikroMAKRO”.

## Czasy dobro-bytu

Po Bożym Narodzeniu brat zaczynał liczyć dni. Czcionki kalendarza były dokładnie przebadane pod kątem dni szkolnych – żałobnych i tych krzykliwych – czerwonych, a potem zmieszaniu ich wszystkich razem w mało strawną bryję, bo soboty, niedziele i święta, jakkolwiek nie wyróżniałyby się spośród natłoku drobnych, czarnych, pracowitych cyferek, to przecież jeszcze nie wakacje. Tylko czas na odrabianie lekcji. Poootem, po cowieczornym procesie coraz skuteczniejszego odkreślenia, widziała już tylko jego rower rzucony gdzieś przy drodze albo brudne nogi wystające spod śpiwora na zielonym materacu do robienia fikołków. Tak nastawały czasy dobro-bytu. Założmy, że zaczniemy od początku. Początku nie było. Byli tu od zawsze. Nigdy stąd nie wyjeżdżali, a jeśli jednak, to „na niby”. Po dziesięciu miesiącach wszystko było znowu na swoim miejscu i oni byli na swoim miejscu, a opowieści łątały dziury: „są dwa nowe psy. Z naszych króli urodziła się angora. Za rzeką nie ma już gęsi, a jagód jest tyle, że mówię, jak grzybów też obrodzi, to zarobimy na auto”. Tak nastawały czasy dobrobytu. Nikt nie wspominał tego, co było, a nie jest. To przyszło trochę później. Chyba tak, jak powiedział Edek, „z chwilą, kiedy pojawiła się śmierć, a życie stało się mniej pewne” i kiedy zamknęli wiejską szkołę, a staruszka z krzyżykiem przestała błogosławić autobusy. Tak, to przyszło wtedy.

Mimo, pamiętasz, jak to się stało, że zadrzały osiki? Od kiedy Maryja z Józefem uciekali na osiołku przed Herodem, listki nie uspokoiły się do dziś. Pamiętasz, jak deszcze kładły zboże? I jak spieszyli się, żeby dosuszyć siano? I to się powtarzało, jak podwójna tęcza nad łąkami, a pod każdą schowany był garnek złota. Mimo, pamiętasz, że najbardziej lubiłaś brzozy? Dlatego, że są czarne

i białe. A z krowami nie miałaś takiego skojarzenia. Kiedy jedna wsadziła babci Rózci łeb w kosz pełen jagód, to dałaś się przekonać, że mogła wyglądać jak diabeł. Oj Mimo, Mimo. A pamiętasz, jak mówili, że Edek pofarbował na Wielkanoc zamiast jajek psa na różowo? Wszyscy myśleli, że to jakiś dzieciak po wsi na czworaka chodzi w kolorowej kurtce, a to pies był. Pamiętasz tę historię?

Jeszcze spali, kiedy dorośli zasiadali do śniadania przy stole z zestawionych szkolnych ławek. Na małych krzeselkach dla klas 1-3 siedzieli oni i chłopaki ze wsi. Oni pili kawę, a chłopaki mówili: „To nasza klasa jest. To są nasze ławki, a tu stała choinka. A Młody, obudził się już? Niech się wyśpi. Zmęczony, co? Wie pani, że kupiliśmy krowę? Pojechaliśmy po nią wozem. Za wozem biegł wilk, a za nim wężła się żmija. Wilk ma długi pazur, oponę chciał nim przebić, ale ja miałem akurat taki mały pistolecik, to mu go odstrzeliłem. No. Młody lubi sobie pospać”. Wstanie, w końcu wstanie. Ojciec zdążył już usiąść w nauczycielskim fotelu obok radia i starego liczydła i wyciągnąć z tuby mapy. Najdokładniejsze. Jak co roku ubierał swoje krótkie spodnie, a potem sprawdzał w okolicy, ile z tej zielonej koldry, którą okryty jest świat, znowu ubyło. Wszyscy już usłyszeli, że kiedyś zostaną tylko one, a niedługo będą dokładniejsze niż bory, bo borów nie będzie. Może łąki będą, krzaki i te mapy-niemapy. Kto by się przejmował? Młody wstał! Potem widziała już tylko jego rower rzucony gdzieś przy drodze. Żeby wejść w opowieść wystarczyło wyjść za próg. W zielone, w złote, a cały rok bardzo się pilnować, żeby nigdy i za nic nie czytać opisów przyrody. Pamiętacie, co stało się z babcią? Kiedy przyjechała do miasta, zaczęła czytać Orzeszkową. Czytała ją tak do śmierci i wzdychała: „Jak tam pięknie”. Kto wie, co „od tego” stało się z jej głową? Może w końcu wyobraziła sobie, że przez podwórko prowadziła ścieżka nad Niemno? Łatwo można pobłądzić, jak się drogi pomylą. Dlatego nikt nie chciał siadać pod lipami, Mistrzowi Kochanowski. Nikt. Tylko raz, kiedy w sierpniowy upał bardzo się pochorowali, rodzice zrobili dla nich szpital polowy w cieniu drzew i może wtedy byłeś im przez kilka

dni bliski, Mistrz Kochanowski. Żeby wejść w opowieść, wystarczyło być „człowiekiem z naszej wsi” – o Młodym tak mówili. Zresztą, co to za „opowieść”, to życie? Do lasu się chodziło, zwierzęta się miało, we wsi się było, a właściwie, gdyby ktoś szukał tego miejsca, to odnalazłby je nie jako „wieś”, tylko „leśną osadę”. Mimo, zapamiętałaś dobrze różnicę? W leśnej osadzie mieszkają ludzie lasu. Na ich podwórkach stoją sągi drewna, a w sieniach ich domów wiszą pachnące potem i żywicą grube marynarki. Ubierają je zawsze wtedy, kiedy idą do boru – zbierać, rwać, wycinać. Wiesz Mimo, że zawsze wracają przed zmrokiem? Ty też już wracaj. Będziemy sobie opowiadać: to wydarzyło się w miejscu, które leży zupełnie na uboczu – głównych dróg samochodowych, torów kolejowych i szerokich rzek, a autobus przedziera się tam przez góry i doliny tylko raz w tygodniu. Żaden kierowca nie lubi tamtędy jeździć – mówią, że droga „nie jest ciekawa”. Same lasy. A kiedy już komuś każą wybrać się w tę trasę, to przeważnie nie wie, gdzie ma się zatrzymać. Znak informacyjny zardzewiał i spadł – leży chyba gdzieś pomiędzy krzakami jagód. Tak rzadko bywa potrzebny, że nikt nie zawraca sobie głowy tym, żeby go odnaleźć. Miejsce, o którym wam opowiadam, nie należy do ludzi, którzy ciągle się spieszą. Mieszkańcy żyją tu spokojnie i rzadko kto zakłóca spokój tych wypełnionych cierpliwą pracą dni. Dlatego wszyscy tak się zaniepokoiли, kiedy słonecznego poranka pierwszego dnia długo wyczekiwanych wakacji niespodziewanie, z dużym hałasem wjechał w sam środek nikomu nieznanemu samochod. Usłyszeli trzask drzwi, skowyt i samochód odjechał tak nagle, jak się pojawił. To chyba nie był gość – pomyśleli – ten zatrzymałby się, pospacerował po okolicy, może kupił kilka świeżych jajek. To też nie był ktoś, kto zgubił się w tych stronach – taki zapytałby przecież o właściwą drogę, zamiast pospiesznie odjechać. Niedługo potem przyszły dzieci. To one zauważyły, że na skraju drogi stał nieduży pies i patrzył na nich wystraszonym wzrokiem. Czy to nowy towarzysz zabaw? „Pies, pies! Chodź do nas!”.

Czy w tej, często powtarzanej z takim zdziwieniem historii chodzi o to, że pies nie miał imienia? Czy o to, że został na zawsze? Mimo, a jak ty masz na imię? Jest jesień. Wszystkie dzieci wyjechały do internatu. Szkoły już tu nie ma. Nie ma tablicy, nie ma liczydła, szafy z książkami Lenina, szkolnych zeszytów na strychu, tablic z obrazkami ptaków i plakatów o myciu zębów i rąk, z których tak się śmiałaś. Nie ma. Podzielmy to, co zostało, na dwie części. To, co po prawej – to moje, to, co po lewej – to twoje. Twój jest ogród, piec chlebowy, jezioro, droga do miasteczka, miasteczko i kawiarnia. Dojdiesz tam jakoś sama. Usiądź na tarasie w ciepłej kurtce, kup szarlotkę, a wcześniej zeszyt i zapisz to, co widzisz, a ja pójmę nad łąki. Może tak być? Trawy pobrunatniały. Mgła nie opada i znowu pełno jest małych pajęczyn. Chyba już pora powiedzieć, że zrobiło się „malowniczo”. Krajobraz to napięte płótno. A co u ciebie? Widzisz? Czy tylko ci się przypomina?

Piszę. Oto zeszyt. Oto zeszyt w kratkę. Innego nie było. „Na zeszyt” we wsi dwa kilometry obok osady chłopci dostawali piwo – psiwo. Nie trzeba było stać po nie w kolejce. Można było wziąć dwie butelki, otworzyć je, zahaczając kapsle jednym o drugi i iść pod stary kasztan. Zanim miastowi wykupią wszystkie bułki, a reszta to, co trzeba, wypije się i pogada, choćby o grzybach. Zbieraliśmy te ich kapsle. Trzeba było powyciągać je z piachu – niektóre tak wdeptali, że pordzewiały, a ziemię trzeba było z nich wytrząsnąć. Czasem udało się to zrobić delikatnie, wtedy wypadała na rękę jak mała babeczka z brzegiem w falbanki. Z kapsli układaliśmy tajemnicze znaki, zaklęcia. Litery pierwszych ludzi i fantastycznych stworzeń. Nikogo oprócz nas to nie zajmowało, dlatego kiedyś, kiedy będziemy już duzi, na pewno znajdziemy je i spokojnie odczytamy wszystkie tajemnice. Dowiemy się wtedy wreszcie, dlaczego mężczyzna z tej wsi zbiera stare ubrania i tnie je na paski. Dlaczego potem, kiedy nas już tu nie ma, całą zimę wiąże je w długi sznur. Dowiemy się, dlaczego od kiedy kobieta upadła w lesie na pień, a w jej kolano wbiła się długa drzazga, przestała chodzić,

tylko usiadła przy oknie i odtąd prawie się nie rusza, a wszystko wie. Dowiemy się, czy to prawda, że Edek jest hrabią, czemu dostał nagle dużo pieniędzy od Niemców i dlaczego nie wyremontował za nie domu sobie i babci Rozalce, tylko owija nimi cukierki, żeby rzucać dzieciakom. Dowiemy się, czemu nauczyciel nie gra już na harmonii, kiedy na dworze jest burza, a ten Edek na noc nie idzie w ogóle do siebie, tylko śpi w chlebowym piecu. Dowiemy się. Na razie jest tu dość zimno. Pospaceruję sobie, zanim przyjedzie autobus, albo posiedzę w kościele. Tam powinno być najcieplej. Jestem. Najświętsze aniołki z samymi główkami i skrzydełkami – w ogóle niesikające – patrzą na mnie spomiędzy turkusów. Chyba tak jak w kaszubskim hafcie i tu są aż trzy odcienie niebieskiego. Jeszcze zielony, czerwony, żółty i czarny. Na serwetkach kolory nigdy się nie krzyżują, a nazywają to drzewem życia – tu? Nie jestem pewna, ale ja z daleka niezbyt dobrze widzę. Słysząc dzwon z kościelnej wieży w tym samym momencie, w którym rozbrzmiewa szkolny dzwonek. Ktoś to przemyślał. Babcie-Stróże idą po swoje wnuczki, które są jeszcze na tyle małe, że boją się chłopaków i powrotu ze szkoły. „Niekapki” trzymają się razem. Wracają, ściskając się za ręce: „Ostatnia lekcja to religia – byłaś?”. Liczy się tylko głowa, którą trzeba twierdząco pokiwać. Jeszcze mają dużo czasu na to, żeby dorosnąć. Najpierw będą długo rysowały – kwiaty, domy i suknie ślubne. Jak my. Dopiero potem wyrosną im biodra i nogi. To znak, że zaraz zaczną chodzić po kryjomu do kapliczki. Tam w różowych, plastikowych kwiatkach stoi Matka Boska i uśmiecha się zza pajęczyny. Pająki to dobrzy tkacze. Kiedy dziewczyny wymażą wreszcie z rozpaczy swoje przeguby sokiem z malin, pójdą nad łąki, w długich, szarych spódnicach. Położą się na skraju z rozłożonymi nogami i wrócą szczęśliwsze. Pająki to dobrzy tkacze. Zacerują bez trudu wszystkie rozdarcia i pęknięte serca – trzeba tylko zamknąć na chwilę oczy. Nie ma co się bać. Pozwólcie potem ciałom iść jeszcze na chwilę do jeziora, którego wodę tak kochają lilie. Staną się znowu czyste i tak pełne światła, że nie będą rzucały cienia.

„Halo, mama? Niedługo już wracam do domu”.

„Halo, Młody! Jestem tu jeszcze. Może byśmy przyjechali wszyscy razem na któryś kolejny weekend? Nie możesz? Nie masz czasu? Mów wyraźniej, ja nic nie rozumiem”.



## Joanna Burgieł

Ur. 1986 w Warszawie. Psycholog z wykształcenia i z zawodu. Mieszka i pracuje w stolicy, lubi podróżować. Do tej pory publikowała swoje teksty prozatorskie – głównie opowiadania i nowele, a czasami także recenzje i felietony – na łamach czasopism internetowych („Pinezka”, „Libertas”) oraz drukowanych („Tekstualia”, „Kozirynek”). Odkąd skończyła czternaście lat, stara się nie pisać wierszy, choć kilka – chciał nie chciał – jednak popełniła. W wolnych chwilach słucha Nicka Cave’a albo coś czyta. Życie bez pisania uważa za dość smutne i raczej niełatwe do zniesienia.



## Lustro

Chciałam kiedyś porozmawiać z lustrem. Proszę zrozumieć: nie ze swoim odbiciem, ale osobiście, w cztery oczy – z lustrem.

Obróciłam je tak, żeby nie widzieć w nim siebie, ale wtedy odbijała się w nim szafa. Rozmowy z szafą nie należą jednakowoż do najprzyjemniejszych!

– Cześć, jak się masz? – Skrzyp. – E, nie przesadzaj, nie jest z tobą jeszcze tak źle. – Skrzyp. – Przecież trzymasz się! Postawa stabilna, korników brak... – Skrzyp! Skrzyp! - ... Masz korniki? - ... - E, nie możliwe! Po prostu trochę skrzypisz, w twoim wieku każda szafa już trochę skrzypi. – Skrzyp! Skrzyp, skrzyp! – Co?! Kochana, ty mi nie wypominaj! W moim wieku to ty błyszczłaś nowością! – Skrzyp. – Matowy lakier też może błyszczeć nowością. – ... – A swoją drogą, to co to za moda na matowy lakier? Mój czerwony zawsze błyszczał... – Skrzyp? – Lakier na paznokciach. – Skrzyp. – Wiem, że nie masz paznokci, ale jest pewna analogia... – Skrzyp! – Właśnie, że jest analogia! – Skrzyp! – Ech... A ja i tak uważam, że jesteś całkiem elegancką szafą i naprawdę nie masz powodów... – Skrzyp, skrzyp! – ...No o samych szafach może nie wiem za wiele, ale na elegancji to akurat się znam! – Skrzyp. – Nie drwij ze mnie... - ... - Żebyś ty widziała, jaka potrafię być elegancka w towarzystwie... Żebyś ty widziała mój *błyszczący*, czerwony lakier! – Skrzyp! Skrzyp! Skrzyp! – To takie zabawne twoim zdaniem?! – Skrzyp! – A może co? A może nie jestem elegancka?! – Skrzyp! Skrzyp! – Odczep się dobra?! – Skrzyp! – Przestań, słyszysz?! Przestań drwić ze mnie! – Skrzyp! – Och, zamknij się! – Trzask!

Obróciłam lustro w swoją stronę, starając się wymazać z pamięci tę przykrą wymianę zdań. I patrzę. Patrzę jak na siebie patrzę. I widzę, że to nie jest konstruk-

tywna rozmowa. W końcu powiedziałam sobie: „Kurka! Wariat nie jestem, do siebie gadać nie będę!” – zgodziłam się ze sobą w zupełności. I zaraz stwierdziłam ostatecznie, groźnie wbijając wzrok w swoje odbicie: „Nie odzywaj się do mnie!”

Obróciłam lustro w stronę sufitu. Ukazał się żyrandol. Ech, niedobrze, żyrandole to mruki. Prawie w ogóle nie gadają.

– Cześć, jak się masz? – ... - Wiesz tak sobie, co? – ... – Pewno ci nudno? – ... – Znam ten ból... – ...? – Nie, nie, nikt mnie nigdy nie wieszał, ale... – ...! - No dobra, nie znam tego bólu, ok.? – ... – Może i nie znam, ale rozumiem w pełni twoją konsternację. – ...? – Nie musisz wiedzieć, co to znaczy. – ...! – Wcale się nie wywyższam, to ty jesteś na suficie! – ... – Ja też nie wybierałam, kiedy musiałam zostać na dole. – ...? – O rany! „Co masz na myśli?!” A muszę mieć coś na myśli? – ... – Właśnie. Czasem po prostu dobrze jest oderwać się od swojego dotychczasowego życia... – ... ..? – Tak! Właśnie! *Oderwać się od ziemi*. – ...! – Nie, dzięki. Jednak nie skorzystam. Wieszanie się to akurat jeden z mniej przyjemnych sposobów na *oderwanie się od ziemi*. – ... – Ludzie są wystarczająco kreatywni aby wymyślić... – ...? – ...lepiej sposób. Nie przerywaj mi! Jako żyrandol naprawdę nie musisz wiedzieć, co to znaczy „kreatywny”! – ...! – Ty chyba masz jakiś kompleks z tymi wysokościami. – ...! – Co? Że *ja* mam kompleksy? A niby jakie?! – ..., ..., ..., – Odczep się. - ..., ..., - Zamknij się! – ..., – Spadaj! – Łup!

Co za niewychowany, impertynencki gbur! I cóż, no cóż mi pozostało do zrobienia? Ach, nic więcej jak po prostu oszaleć! Chyba nawet załkałam, nie wiem: z żalu czy z furii? Zdjęłam but z lewej nogi i rzuciłam w lustro. Nie chcesz ze mną gadać, tak? Podsuwasz mi te *niewyparzone gęby*, a samo mnie unikasz?! Dobra!

Pierwszy but nie trafił, więc rzuciłam drugim. Zbiłam tylko szybę w oknie, ale nie poddałam się. Złapałam lustro w dłonie i uderzyłam o ścianę. Sposób absolutnie niezawodny! Miałam teraz miliony tych małych skur-

czybyków jakby mi jednego było mało! Z każdego z nich spozierał na mnie blady sufit. Uśmiechał się drwiąco i prawie słyszałam jak szydzi: „kompleksy, kompleksy, kompleksy...”. Pomyślałam: Dość!

Postanowiłam opuścić pomieszczenie i raz na zawsze skończyć z całym tym wariactwem. Zawahałam się przy drzwiach, a moja ręka zawisała w połowie drogi do klamki. Chwilę czekałam, ale nie odezwały się. Nie zaskrzypiały i nie trzasnęły mi przed nosem. Wzięłam to za dobry omen; już chciałam nacisnąć klamkę i wyjść... ale nie było klamki.



# Tomasz Dalasiński

Ur. 1986. Twórca tekstów poetyckich oraz prozatorskich, autor książek z wierszami *porządek i koniec* (2011) i *Stosunki przegrywane* (2013) oraz zbioru szkiców o poezji Jacka Podsiadły *Nie mogę okłamać cię w wierszu* (2013). Laureat X Tyskiej Zimy Poetyckiej (2010), stypendysta MKiDN, trzykrotny stypendysta Miasta Torunia oraz dwukrotny Marszałka Województwa Kujawsko-Pomorskiego w dziedzinie kultury, doktor nauk humanistycznych, redaktor naczelny czasopisma „Inter-”. W roku 2016 w wydawnictwie ukażą się jego książki: prozatorska pt. *Nieopowiadania* oraz poetycka pt. ©.

## **Księgi wyjścia**

Tomek wychodzi z księgarni i widzi, co widzi. Ręce mu marzną. Palce u stóp też mu marzną. Marznie mu nos, kark i włosy. Włosy nie mogą marznąć. Czyżby? Tomek prychnie i kicha. Wychodzi z księgarni. Widzi, co można zobaczyć. Ręce i stopy, nos, kark i włosy. Odbicie w witrynie sklepu. Z zabawkami. Czyżby? Tomek wychodzi i wyjmując z kieszeni telefon. Wybiera numer. Jak sójka za może (się). Jest całkiem, całkiem zwrotnie. Po drugiej stronie ulicy mieszka kosz na psie kupy. Tomek wychodzi z księgarni i marznie. Nie podchodzi do kosza. Odwraca wzrok od witryny. Już nie widzi, ale wie: jeśli ktoś zgodnie z prawem i dobrym obyczajem utylizuje właśnie psie odchody, to ma na oku zarówno jego przód, jak i tył. Nie przejmuje się tym za bardzo; wyjmując z kieszeni telefon i wybiera numer. A może to numer wybiera jego? Skąd wiemy, że w danej chwili musimy zadzwonić właśnie tu, a nie gdzie indziej? Czy zawsze mamy jakąś sprawę do załatwienia? A jeśli nie zawsze? Tomek wychodzi z księgarni, odwraca się, wyciąga telefon i zostaje wybrany przez numer. Poczta głosowa. Tu ja. Proszę, zostaw wiadomość. Śmiech. Jak się w klubie po megaimprezie zostawia parasol albo rękawiczki. Śmiech. Sygnał. Wiadomość: dzwoniłem, odzwoń. Tomek odkłada telefon. Znowu marznie. Ani na moment nie przestaje marznąć. Nic dziwnego w styczniu. Toteż nikt się nie dziwi. Niczemu. Tomek wychodzi z księgarni, marznie, odwraca się, wyciąga i odkłada telefon. Mija trzydzieści sekund. Telefon daje znak. Wibracjami. Numer wybiera Tomka. Dosłownie. Ale to nie ten numer. To całkiem inny numer. Numer, przez który Tomek nie chce być wybrany. Połączenie zakończone. Rozpoczęta niemiecka wycieczka. Stumetrowym węzłem wijąca się obok kosza na psie kupy. Patrząca dziesiątkami oczu w kierunku sklepowej witryny. Szeleszcząca kilkorgiem

języków. Łapczywie liżąca powietrze. Tomek wychodzi z księgarni, marznie, odwraca się, wyciąga i odkłada telefon, wyciąga i odkłada telefon, wycieczka niemiecka idzie, ślini się, patrzy, kosz na psie kupy stoi jak należy, wycieczka robi zdjęcia, uśmiecha się, krzyczy, powietrze pachnie hot dogami, Tomek zaznaje głodu, zjadłby coś, ale nie ma, niemiecka wycieczka wykupiła wszystko, trzeba by pięćset metrów do następnej budki, do następnego dnia, pa pa, a przecież nie, bo księgarnia, z księgarni trzeba wyjść, zmarznąć, odwrócić się, wyciągnąć i odłożyć telefon, wyciągnąć i odłożyć telefon, wpaść prosto na wycieczkę, *entschuldigung*, spierdalajcie, bo oto idę ja, zmarznięty, głodny, nie trzymam nic w butonierce, chucham na tramwaje, dmucham na radio ESKA, popijam zimę kawą z Coffee Heaven, noszę sweterki z Zary, zaraz znajdę się w kropce (.), w centrum, w sytuacji, znajdę sposób, aby

wyjść z księgarni, przemarznąć, odwrócić się, wyciągnąć i odłożyć telefon, wyciągnąć i odłożyć telefon, zaznać głodu i zjeść coś, uśmierzyć, uśmierzyć, zabrać, oddać komuś, co czyjeś

#### [BÓG POWRACA JAK REFREN]

oddać komuś, co czyjeś, trafić pod koła wycieczki, *Deutschland, Deutschland*, bo brakuje hot dogów, bo chcę zadzwonić do ciebie, ale nie mam już głosu, bo nigdy nie miałem głosu, wybory, wybory, 49% obywateli dowiodło, że, cała reszta odwiodła, całej reszty już nie ma, stoję sam, oooo Tomku, stoisz sam, wążasz styczeń, widzisz Zarę, nie ma Niemców, nie ma kosza, żadnych kup, zero głodu, no czym ty się zajmujesz, czemu zajmujesz miejsce, o co ci znowu chodzi, co tu właściwie robisz, po co się zastanawiasz, nad czym?, dlaczego o sobie piszesz, czemu w drugiej osobie, czemu w trzeciej osobie [BÓG POWRACA JAK REFREN], czemu Bóg powraca jak refren, czemu nigdy nie będzie już takiego stania, czemu nigdy jak wtedy, na dworcu w Inowrocławiu, pod budką z hot

dogami, po odprowadzeniu jej, jej, ojej, jej też nie ma, stoisz sam, stoję sam, pluję słowami na metry, kilometry, lata świetlne, lata ciemne, no wiesz, no wiesz, co?, co pamiętasz, co ciebie pamięta (a pamięć jest jak wyzwanie rzucone na głęboką wodę), no i jak tak można, to się nie godzi, to nie warto, słuchaj, słucham, jeszcze tylko sekunda, jeszcze tylko to zdanie i wyjdziemy, teraz.



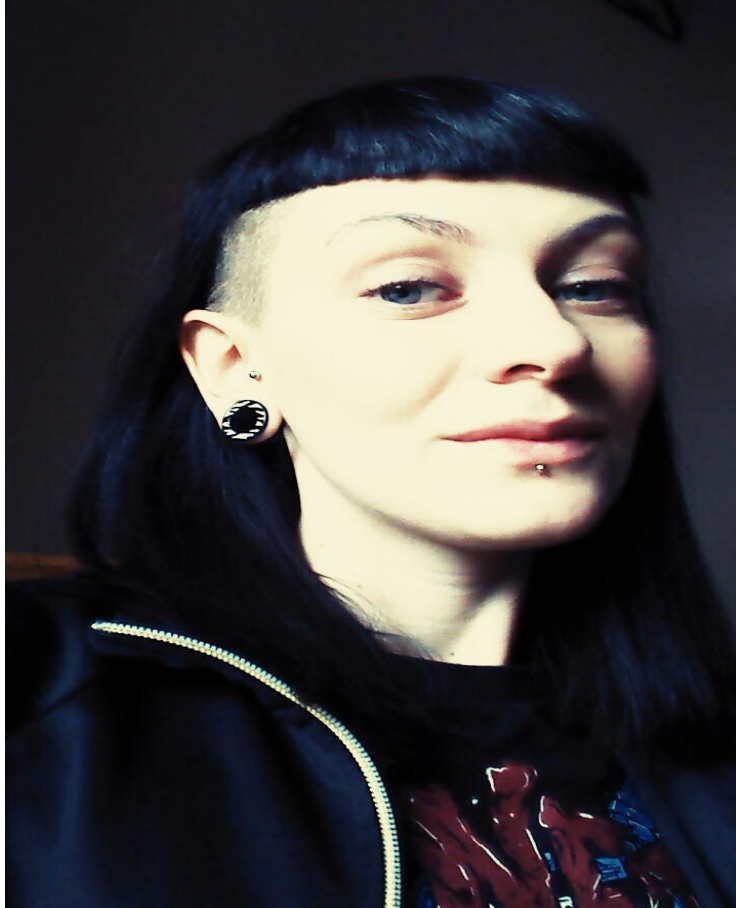
# Marek Konecki

Ur. 1949. Aforysta, pisarz, rysownik, profesor w SGSP, współzałożyciel Stowarzyszenia Polskich Artystów Karykatury (1987). Taternik, himalaista, wspinał się w Himalajach Lahul (wyprawy eksploracyjne w 1977 i 1987 roku). Miał 37 wystaw indywidualnych, wystawiał m.in. w Warszawie, Krakowie, Zakopanem, Londynie, Chicago, Dundee (Szkocja), Manali (Indie). Brał udział w ponad stu wystawach zbiorowych rysunku w kraju i zagranicą. Autor 10 zbiorów rysunków, wierszy i aforyzmów. Ostatnio wydał *Kalendarium kpin* (2013) i *Księgę kpin* (2015). Mieszka w Warszawie.



**\*\*\***

Humor mam alternatywny i postępowy. Dałem swojemu małemu synkowi lalkę barbie, a córeczce karabinek automatyczny z plastiku, do zabawy. Synek urwał lalce łeb, by zobaczyć, co ma w środku, a córeczka ubrała broń w sukieneczkę, czapczkę i wsadziła do wózek. Po czym oboje zadowoleni z udanej zabawy siedli na równusieńkich krzeselkach, przy tym samym malutkim stoliczku, do jednakowych miseczek z tą samą, tak samo lekko soloną, kaszką manną z odrobiną identycznego masła. Pogładziłem oboje z jednakowo nieudawaną czułością, po ich różnie udekorowanych włoskami główkach.



## Elżbieta Łapczyńska

Ur. 1987. Z zawodu copywriter, z wykształcenia filozof. Urodzona i mieszkająca w Krakowie. Od 2014 roku pisze krótkie formy prozatorskie. Jej teksty zostały docenione w kilku konkursach. Parokrotnie miała okazję szlifować umiejętności pod okiem pisarzy i redaktorów. Jej literackim punktem odniesienia jest proza Piewina, Vonneguta i Kafki.

## Nie podchodź za blisko

Po pierwsze wcale się nie bałem. To w ogóle nie było tak. Niech wam powie Śliniak, kto pierwszy rzucał mokrą szmatą w Kotlaka, albo kto gonił tych z Kozłówek, jak nam zajęli bazę. Tak naprawdę, to mi się zwyczajnie nie chciało. A ja mogę po prostu powiedzieć, że zostaję w domu, i wtedy nigdzie nie muszę iść, i nikt mnie nie może ciągnąć za kaptur ani wciskać butów na nogi, bo to jest przemoc i za to się idzie do więzienia. Ja bym już wolał wyduldać szklankę gili Fajkowskiego niż pójść do więzienia, i mój ojciec chyba też, dlatego jak wtedy powiedziałem, że nie pójdę do dziadka, to po prostu włączyłem sobie Baldur's Gate'a, a ojciec nie odezwał się ani słowem. Pewnie za słowną przemoc też jest więzienie, tylko trochę lżejsze, ale nadal jest się zamkniętym na wiele, wiele lat.

Kiedy zabrali dziadka do wariatkowa, wchodził Heroes VI. Widzicie więc, że było to dawno temu, od tego czasu zdążyli zrobić już trzy dodatki i specjalną edycję Heroes III. Przyjechała prawdziwa karetka i przez cały czas, kiedy stała pod blokiem, świeciła kogutami, tyle że bez sygnału. W oknie naprzeciwko Maciek Kuryłko robił na szybie świński ryj. A ja z pierwszego piętra zauważyłem, że dziadek zapomniał ubrać skarpetek i kiedy zrobił krok do karetki, zaświecił chudymi kostkami. Tata chyba też to widział, bo coś tam powiedział mamie, a mama przewróciła oczami. Kilka dni później dzwonił do niej wujek Karol, który jest lekarzem, ale lekarzem od żołądka, czyli gastrologiem. Wywnioskowałem, że dziadek zwariował, bo się zatrzał bigosem, tak jak ja kiedyś po świętach. Jak mówiłem, byłem wtedy trochę młodszy. Dziś wiem, że dziadek zwariował przez coś zupełnie innego.

Ten Fransenstein to właśnie przez Maćka Kuryłko. Jest taki kurde mądry, bo ma matkę nauczycielkę. Nied-

ługo po tym, jak dziadek odjechał karetką do szpitala, Maciek zaczął opowiadać chłopakom, że w wariatkowie robią operację mózgu, żeby wyciąć ten kawałek, przez który masz poplątane. W tym celu wycinają ci dziurę, różnej wielkości, to zależy od stopnia ześwirowania, ale może być nawet tak duża, że potem wyglądasz jak Frankenstein i chodzisz z resztkami mózgu na wierzchu. I wtedy zaczęli wołać do mnie „ej Franki, wycięli ci mózgownicę”, bo niby to dziedziczne czy coś. Ja na początku pomyślałem, że to kit z tym dziedziczeniem, bo, po pierwsze, żeby po kimś coś dziedziczyć, to najpierw ten ktoś musi kofnąć. Więc dopóki dziadek dychał, żadna operacja mi nie groziła. Potem wpadłem na to, że chyba w kolejce po dziedziczenie stoi najpierw mama, ewentualnie ciotka Beata, o co z resztą się nieraz kłóciły.

Mam tylko nadzieję, że nie będę miał po dziadku takich włosów w uszach. Sterczały mu jak kępki trawy z chodnika. Było ich tak dużo, że mogłem je zobaczyć, siedząc przed telewizorem, jak dziadek przechodził przez przedpokój. Bo on ciągle łaził po domu i nie można go było złapać. Myślałem, że wszyscy starzy ludzie dostają bujany fotel od prezydenta czy coś, żeby zawsze było wiadomo, gdzie są, tak jak klucze na haczyku. A dziadek takiego fotela nie miał. Miał za to tapczan, a na tapczanie czasami drzemał i wtedy mogłem oglądać te jego włosy wyłażące prosto z bębenków. Ale w sumie to wołałem nie podchodzić i tam nie zaglądać.

Dziadek już się dawno zadomowił u pomyłonych, o Frankim już mało kto pamiętał, aż tu jednego dnia wracam z lasku-jebasku, jak mówiliśmy na takie zarośla, gdzie nieraz można było spotkać pijaków, w sensie facetów i babki, jak wiadomo co robili, więc jednego dnia wracam całkiem zadowolony, bo wyszło na moje w zakładzie, że Szczupak nie doskoczy z murku do rowu. Zarobiłem Chitosy. Ale jak wszedłem do domu, to jakby te Chitosy i ten murek nagle zniknęły, jakby się włączył zupełnie inny film. I to jakiś z gatunku tych smętnych, biało-czarnych i bez muzyki. Mama była w kuchni, ale wcale nie latała z talerzami ani ze ścierką, tylko siedziała

przy stole. Do tego na zewnątrz było już prawie granatowo, a w kuchni światła były pogaszone. Na szczęście mnie zauważyła i powiedziała „cześć”, inaczej chyba bym sterczał w bezruchu tak samo głupkowato jak ona.

– Jest coś na kolację?

Otworzyłem lodówkę, chociaż nie wiem, po co, bo się strasznie napchałem tymi chrupkami. Lampka oświetliła trochę kuchni i zobaczyłem na stole kupę papierów.

– Co czytasz?

Mama zaszeleściła tylko kartkami, szurnęła krzesłem i razem z całym stosem zniknęła w kompletnie ciemnym przedpokoju.

– Dziadkowe papiery.

A potem nagle się wychyliła z salonu.

– Dziadek umiera.

Więc jak chcieli mnie zabrać do dziadka, powiedziałem, że nigdzie nie idę. I, jak wiecie, zostałem sam. Nie zdążyłem nawet uwolnić Dynaheir z twierdzy Gnolli, a już zacząłem się nudzić. Skoczyłem pomyszkować w szafce nad zlewem w poszukiwaniu tych kulek, co się wrzuca do mleka, a ja je strasznie lubię jeść prosto z paczki. Znalazłem je za szklankami, i to chyba do połowy pełną paczkę. No i przy okazji wyrząłem za okno, bo ostatnio kręcili się tu ci ze stowudziestkiszóstki i szukali guza. Ich nie było, ale za to naprzeciwko stała karetka i wnosili do niej czyjś dziadka. Szyba zaparowała, a ja wsypałem sobie do buzi całą garść kulek.



# Michał Małyśa

Człowiek ze wsi.

## Wodorosty

Złota rybka wiruje w szklanej kuli ciasnego więzienia. Babcia powiedziałaaby – jak fryga. Ale babcia odeszła, już nikt nie wygłasza z ironiczną miną porównań wyjętych z lat sześćdziesiątych.

Kaligula to dobre imię dla istoty, która po trzech sekundach traci całą pamięć. Pewnie nawet nie zdążyłaby się przedstawić. Zresztą Damian do końca nie jest pewien, czy to prawda. Asia powtarzała tezę o rybiej utracie wspomnień za każdym razem, gdy słyszała narzekanie na niehumanitaryzm okrągłego akwarium. Rybi niehumanitaryzm.

Odpalając kolejnego fajka, błądzi myślami po różnych tematach, chociaż potrzeby Kaliguli są na pierwszym miejscu. Uważa to za głupie i pretensjonalne, nigdy nie obchodziły go zwierzęta. Sam jest znacznie lepszym tematem do przemyśleń. Bo mieszkanie, które zostało po babci. Bo Asia, po której nawet długo się nie żalił. Twarz pasująca do wczesnej nastolatki i niemal kompletnie dojrzałe ciało. Dojrzałe, ponieważ wymagało dojrzałości – platynowe blondynki bez śladów wyrazistego biustu nie zainteresują dzieciaka.

– Jesteś głodny?

Nigdy przedtem nie rozmawiał ze samym sobą lub istotą, która odpowiedzieć nie potrafi. Obecność Kaliguli wyrabia złe nawyki. Ale karmi go, nie chce, żeby też odszedł.

Asia nie zostawiła po sobie nic prócz Kaliguli.

– Zostawiła mi rybkę. I HIV też. A teraz spierdalaj, dorośli ludzie rozmawiają.

– Ale...

– Spierdalaj, mówię, w podskokach.

Usłużnie podsunęła mu spisany na karteczce numer, była jedną z tych, na które odmowa działa jak najsilniejszy

afrodyzjak. Zamienili wcześniej kilka słów. Prawniczka. Tak o sobie powiedziała, więc pewnie studentka. Piersi wchłaniałby tak, jak rozkoszowałby się rytualnym spożyciem wina z najgodniejszego rocznika. Oczywiście tylko wtedy, gdyby w przeciwieństwie do niej wymagało pewnej subtelności przy przecinaniu plastikowej otoczki wokół szyjki oraz korka.

W podskokach. Trudno byłoby wpaść na bardziej durny tekst. Hokus-pokus. Hoc est corpus. I oto jest ciało. Świadczy o tym numer. Damian ma ochotę zadzwonić. O trzeciej w nocy. Ale jednak kiedyś chciałby ją sprowadzić na chatę, więc zostaje sms, na którego najwyżej nie odpisze. Krótki, bo brak mu siły na sprawdzanie błędów, głupie i pretensjonalne przyzwyczajenie, przecież i tak nikt nie zwraca uwagi na ortografię w SMS-ach. *Chcesz narkotyki?*

To odpowiednie pytanie. Nie da się zrobić w nim błędu. A odpowiedź jest durna, tak jak można było się spodziewać. *Jakie*. Tylko tyle, wyrażenie łagodnego zdziwienia, może delikatne zainteresowanie. Zupełnie zrozumiałe o tej porze.

W lepszych czasach wstałby z krzesła, w które wbijał się od kilku godzin, po czym podszedł do szafki opinającej zaborczo ścianę nad kuchennym blatem. Teraz znajduje się tam niewiele ponad czarne drobinki kawy, jak w każdym dobrym domu skryte w okrągłej bieli fajansowego naczynia. Lubi też mieć pod ręką herbatę, zieloną i czarną. Z tej drugiej korzysta znacznie częściej, ponieważ zielona przypomina mu o nawykach Asi. Kolorze jej oczu. Zestaw banalnych skojarzeń na tym się nie kończy, ale wszystkie one mgleją pod naciskiem obrazu trawnika.

Nie chciał wtedy widzieć drgających nieznacznie powiek, tchórzliwie odwracał się od pastelowego makijażu osadzonego na pulchnych policzkach. Jak struchlały, czekający na karę jamnik, wbijał wzrok w trawę. Upstrzoną papierosowymi filtrami, które przegrały walkę o odrobinę uwagi ze świeżą, wiosenną zielenią.



A teraz jest listopad, który trwa nieprzerwanie od lekkiego dotyku warg na jego policzku, trwa zakazując spoglądania w słońce oraz gromadzenia środków farmakologicznych. Damian nie chce, żeby były zbyt blisko, podobnie jak mocniejsze narkotyki, i dlatego wytrącając się z lekkiego stuporu może wklepać w wiadomość tylko jedno słowo. *Lekkie.*

Po dwóch czy trzech minutach wibracja telefonu anonsuje nadejście SMA-a. Mijają kolejne, zanim przenosi wzrok na jego ekran. Widocznie spodobała się studentce zabawa w lapidarnego kotka i równie powściągliwą w słowach myszkę. Jasny wyświetlacz wydaje się mimo wszystko przepełniony tym jednym wyrażeniem. *Adres.*

Dzwoni gwałtownie do domofonu, a potem bez słowa przekracza próg. Usta otwiera tylko po to, aby pocałować Damiana w policzek. Niepisane, spontaniczne ustalenie o milczeniu jest bardzo cenne, a mężczyzna i tak nie byłby w stanie znaleźć odpowiednich słów. Czuje się jak człowiek, którego nogi opłotły wodorosty i nie może nawet krzykiem przywołać pomocy, gdyż pod taflą wody nawet najbardziej emocjonalne wyrażenia zmieniają się w nieme pęcherzyki powietrza.

Lufę nabija bez przekonania, żałując wysłanego pod wpływem impulsu SMS-a. Ciasno zbita kosteczka podmiejskiego haszyszu zaczyna się kończyć, a zdecydowanie nie ma ochoty wychodzić z domu przed końcem weekendu.

Ona jednak cieszy się na bucha jak dziecko, które po raz pierwszy wdychać ma modyfikujący głos hel. Pozwala studentce rozpalić, niech zaciągnie się jako pierwsza. W tym czasie Damian może obserwować jej przesadnie wydłużony nos, rybie oczy oraz wysokie, gładkie czoło. Odbija światło nieosłoniętej abażurem żarówki jak łuski Kaliguli. Gdyby przed przypaleniem miał ochotę na wybuchnięcie śmiechem, w tym widoku znajdowałaby się odpowiednia dawka komizmu.

Gdy ona próbuje przetrzymać powietrze w płucach jak najdłużej, on skupia się wyłącznie na physis. To, co dziewczyna ma w mózgu i sercu, znajduje się na

obrzeżach zainteresowań Damiana. Jest tylko istotą, tak jak Kaligula. O ile jednak skrobanie ryb zawsze kojarzyło mu się z mozolnym oporządzaniem wigilijnego karpia, tak gość nie powinien sprawiać większych problemów.

Damian w końcu też wciąga dym i mimo ogólnego podekscytowania zaczyna myśleć wolno i spokojnie. Osobiście zdejmując z niej ubrania, metodycznie i bez skrupułów, odzierałby z resztek godności i siebie. Człowieka, który myśli tylko o tym, jak najskuteczniej i najszybciej wyruchać zaćpaną pannę. Wie, że musi zaznaczyć swoją dominację znacznie wyraźniej.

– Wstań.

Studentka najpierw podnosi swój niezgrabny kuper, a dopiero potem zaczyna zastanawiać się nad sensem polecenia. Nie może dać jej tego czasu, ma uczynić z niej kurczaka poganianego do klatki, kurczaka gotowego na złożenie swojemu właścicielowi odpowiedniej daniny. Satysfakcja z obdartych piór i potrawka z drobiowej piersi. Kuchenne metafory mają w jej wypadku wiele sensu, ponieważ widać, że tłuszcz sam nie osadził się na udach.

– Szybkim ruchem zdejmij koszulkę. Wolniej opuść spódnicę do kostek. Bieliznę możesz zerwać. Podejdz do mnie.

Nie mówi do niej, nadal zwraca się do czegoś, co miałyby problem ze zrozumieniem tych słów. Nie do rybki, nie do siebie, raczej gdzieś w przestrzeń. Tylko przypadek sprawił, że znalazł się podmiot chcący podporządkować się zdawkowym rozkazom.

– Teraz możesz się okręcać.

Zupełnie jak baletnica, uzupełnia w myślach, zwracając się w końcu do niej. Możesz obracać się niczym tancerka, którą nigdy nie zostaniesz, bo twoje ciało nie jest ani filigranowe, ani wysportowane.

– Okręcaj się. Szybciej i szybciej.

Myśli, że przepadnie w pamięci, że zostaną po niej wyłącznie szare myśli, że jest całkowitym przeciwieństwem Asi. Studentka ubrała się niemal na galowo, nie okrywało jej nic prócz bieli i czerni. Myśli tak, dopóki nie wypowiada pierwszych tej nocy słów.

– Jestem zielona, wiesz? – zatrzymuje się w połowie nieudolnego piruetu. – Nie będzie ci to przeszkadzało?

– Będzie – odpowiada krótko i odwraca wzrok.

Podczas gdy ona, lekko speszona, sięga po odrzuconą nazbyt pospiesznie spódnicę, Damian chce znów wrócić do swojego bezpiecznego świata. Powoli zaczyna jednak odbierać jej metaforę dosłownie. Tworzy własną projekcję spragnionego ciała, a wypukłe oczy i zdziwiony pyszczek kobiety idealnie dopełniają to dzieło. Widzi ją oplecioną ciemnozielonymi wodorostami i wie, że one nie mają zdolności do zadawania bólu jak zieleń jaskrawa, krzykliwa.

Z pasją wyrywa studentce z ręki czarny materiał i odrzuca w kąt pokoju, na stertę równie bezbarwnych ubrań.



# Patryk Nadolny

Ur. 1993 w Szczecinie. Laureat nagrody grand prix w VI edycji OKP „Granitowa strzała” w Strzelinie, w którego następstwie zadebiutował tomikiem *Wyławianie Atlantydy*. Na chwilę obecną mieszka i studiuje archeologię w Poznaniu. Obecnie pracuje nad powieścią *Święto grawitacji*, ale najprawdopodobniej projekt przybierze postać poematu prozą.

## Kraina pępka

Czy w zaświatach pobudowano hotele i funkcjonują biura turystyczne? Pyta Dorotka babci, w której na gapę podróżuje rak i przy kontroli pokazuje guzy do skaowania. Babcia odpowiada, że nie ma tam nawet autobusów i aut łapanych przez autostopowiczów, za to istnieje sygnalizacja świetlna z kopających się i dogasających zniczy.

Obserwowałem ich z niewielkiego oddalenia. Dystans jest zawsze jakby karzełkiem, niezależnie czy między palcem a płytką paznokcia, czy dzielący Ziemię i kwazary. Od kilku dni Dorotka jest córką rozwodnika spod znaku Ryb, a przecież gdybym przyszedł na świat kilka godzin wcześniej, to wodnik pluskałby dla mnie w zięjących kosmicznym chłodem horoskopach. Gdy dodam zero do jedynki, to czy ta para liczb nie trwa w niekończącym się pocałunku? Nikt nie wie, tak myślałem. Po co w ogóle potrzebne są czas i przestrzeń? To po prostu nie mieści mi się w głowie, że musimy mieć dla siebie miejsce, ale żadne miejsce nie ma nas. Tak właśnie tylko w skrócie brzmi sekret wszechrzeczy.

Czasami w środku nocy przebudzi mnie nieobecny już po otwarciu oczu sen i wtedy dotykam własnego pępka, jakbym sprawdzał, czy jest na swoim miejscu, a co za tym idzie – czy realnie istnieje. Zasypiam i śni mi się, że przez środek pępka wytyczam autostradę, rzekę, polną drogę.



## Paweł Orzeł

Ur. 1985 w Madrycie. Prozaik, dramaturg, autor jednego wiersza. Mieszka w Warszawie. Jest laureatem nagrody Stowarzyszenia Młodych Poetów. Wydał dramat *Defenestracja* (2005), zbiór opowiadań *Nic a nic* (2009), zbiór prozy eksperymentalnej *Cudzesłowa* (2010), powieść *Ostatnie myśli (sen nie przyjdzie)* (2011) oraz utwór eksperymentalny w formie jednego rozkładanego arkusza wydawniczego *Arkusz [^pi^gmalion]* (2014). W 2011 debiutował w teatrze za sprawą przedstawienia *Słów, które uleciały w świat nie można już łapać za skrzydła*. Od kwietnia 2014 jest redaktorem naczelnym kwartalnika „eleWator”. Obecnie zajmuje się również spuścizną Henryka Berezy (m.in. tomik *Zgrzyty*, 2014).

## Sen nie 43.

Moment przejścia między światem zewnętrznym pozorów a marginesem potrzeb fizjologicznych. Typowa i znana od zawsze sytuacja. Ludzie zwiedzający różne miejsca. Ludzie oglądający przedmioty co najmniej podejrzane. Ludzie tracący siebie przy tych czynnościach. Wszyscy mający wiedzę, że w każdym wydarzeniu pozostaje na zawsze coś z nich. Choć większość wołałaby pewnie, gdyby to przeżycia pozostawały w nich, a nie na odwrót.

Mężczyzna był w tej stopniowo, ale systematycznie, zatracającej się grupie. Wyraźnie odczuł na sobie, że przebywanie w niej osłabia go, rozmiękcza to wszystko, co w nim najciekawsze. Tak jakby był to pierwszy lub drugi etap trawienia jego osobowości, by mógł stać się kolejnym bezmyślnym widzem. Z tego procesu wyrwała go potrzeba fizjologiczna, potrzeba oddania moczu. Nie mógł wiedzieć, że jest to coś, co go uratuje. Na początku odczuł tę sytuację jako dyskomfort, który wrywa go z przyjemnego transu. Oddalił się więc od grupy i wszedł do wcześniej niezauważalnego wiejskiego domu. Przeszł próg zdał sobie sprawę, że nie jest już ślepy. Jednak nie pamiętał, gdzie był, co widział lub kto mu do tej pory towarzyszył. W świadomości pozostał sam akt chodzenia oraz rozkoszna lekkość wymykająca się tłumaczeniom.

Dom miał w sobie wiele elementów mu bliskich. Szedł w głąb, nikogo nie szukając ani nie wołając. Widział tylko kuchnię, która gdzieś w oddali wydawała się stopniowo otwierać i rosnąć we wszystkie strony. W końcu doszedł do niej i wrażenie wytrąciło mężczyznę z siebie samego. Coś z jeszcze jego świata dotknęło go i zasugerowało wielkie zmiany. Nie zauważył, kiedy stanął przy zlewie i zaczął oddawać mocz. Nie czuł się nawet skrępowany świadomością, że stoi za nim umierająca kobieta,

która przez całe życie nie wyszła na zewnątrz. Gdy skończył, przekazała mu staroświecki nocnik – w jego rękach raz za razem przeobrażający się w plastikowy talerz wypełniony moczem.

Dał ulgę swojemu wnętrzu, a ono odpowiedziało rosnącym podnieceniem. Myśli o dalszym zwiedzaniu i byciu cieniem odeszły. Pozostała tylko chęć zaspokojenia się w tym miejscu, w którym się znajdował. Chciał jak najszybciej masturbować się, ulżyć sobie, by później móc spokojnie porozmawiać ze starą kobietą. A ona, jakby zdając sobie z tego sprawę, wzięła go pod rękę i zaprowadziła do pomieszczenia, które minął tuż przed wejściem kuchni. Zrozumiał, że proponuje mu skorzystanie z przestrzeni stworzonej specjalnie dla takich sytuacji. Zobaczył przed sobą konstrukcję opartą na rozwieszonych sznurach i pościeli tworzącej malutkie, zamknięte pokoiki. Wzbudziło to w nim skojarzenia ze sklepowymi przymierzalnymi i wszystkim, co w nich mógł robić. Pomieszczenie było nieproporcjonalnie długie, ale wiedział, że pójdzie bez zbędnego myślenia do pokoiku naprzeciw, że w nim zamknie się i szybko opanuje swoją potrzebę. Nie czuł wstydu przy starej kobiecie, jedynie zdziwienie, że ma czym zapłacić i wie, ile powinien.

W pokoiku rozejrzał się – zwykle prześcieradło na wysokości oczu, sięgające do kolan. Praktycznie brak odgradzenia od ludzi obok. Patrząc na fakturę materiału poczuł, że ma w ręce jakiś przedmiot. Musiała mu go dać stara kobieta. Nie widział go, ale czuł. Miał wrażenie, że rozpoznaje wszystkie kolory i kształty, ale nic nie było dla niego jasne. Posiadał tylko pewność, że właśnie w ten przedmiot powinien wytrysnąć. A następnie oddać go kobiecie.

Miejsce nie było przesadnie czyste. Zobaczył w jednym momencie wszystkich ludzi, którzy mieli wytrysk na płócienne ściany i bez żadnego skrępowania wyszli. Wierzył, że jeżeli przyjrzy się dokładnie temu, co go otacza, odnajdzie wszystko. Podchodził blisko, patrzył coraz uważniej, a materia prześcieradła rosła w jego oczach. Widział każdą nitkę, szwy, sposób szycia oraz zaschniętą



spermę. Jednak pola wyschniętych plemników były tylko jego fantazją. Nie przestawał patrzeć z coraz mniejszej odległości. Dotykał już materiału nosem, czołem, policzkami, aż w końcu zatracił się w nim i na ziemię upadła jego głowa.

Zapomnienie o sobie jako o kompletnym, złożonym i bolesnym ciele może być dotkliwie. Mężczyźnię głowa upadła na ziemię, a po chwili poczuł, że ma ją między kolanami. W momencie niepewności odniósł wrażenie, że obok, w innym pokoiku, jest naga dziewczyna, która przygląda się mu z zaciekawieniem. W mężczyźnię więc zrodził się dylemat – masturbował się już, czego nawet nie był do końca świadomy, a z drugiej strony chciał przeżyć stosunek z dziewczyną, kimkolwiek była. Penis, głowa, ręka, nogi, każdy element jego ciała stał się samowystarczalny i mógł sam decydować o sobie. Proces ten wchodził coraz głębiej w mężczyźnię, aż do umownych granic między komórkami. Dopiero na tej płaszczyźnie mógł całkowicie przestać istnieć. Stan nieistnienia nie był w tym przypadku równoznaczny z odrzuceniem lub zablokowaniem rozpoczętych czynności. Odpowiednie komórki nadal wykonywały te same ruchy, wierząc we współpracę i sens podtrzymania tego, co było do tej pory. Jedynie głowa znów upadła na ziemię i, dzięki resztkę cielesnej symbiozy, zauważyła dziewczynę oddalającą się w stronę starej kobiety. Niedługo później osamotniony mężczyźnię, zebrał wszystkie swoje elementy i powstał na nowo taki sam jak wcześniej. Stało się to, kiedy odpowiednie komórki dały mu poczuć ciepłą spermę na dłoni.

14 IX 2014



## Michał Paluszkiewicz

Ur. 1990 w Lesznie. Studiował historię i dziennikarstwo, ale po dwóch latach przerwał naukę i zajął się pracą fizyczną. Dorywczo uprawia dziennikarstwo. Publikował w „Reporterze Leszczyńskim” i „Tygodniku Powszechnym”, współtworzył nieistniejący już portal [alterpoznan.pl](http://alterpoznan.pl). Interesuje się literaturą Beat Generation oraz wszelkimi przejawami kontrkultury. Potrzeba innej formy ekspresji skłoniła go ostatnimi czasy do pisania opowiadań.

## Ja, smutny sprzedawca

Zapierdalam. W pośpiechu opróżniam wózek ze śmieci, krople potu podrażniają mi oczy, wykładam na regał ostatnią zgrzewkę wody, zroszone czoło ocieram rękawem zakurzonej koszulki, chwytam za pusty wózek i biegiem ruszam w kierunku magazynu.

– Panie Michale, wszystko zrobione? – pyta manager obserwujący mnie spomiędzy nabiiałowych lodówek.

– Jak pan widzi, jeszcze nie – odpowiadam, starając się ukryć ślady irytacji, jednak po chwili konstatuuję, iż moje słowa mogły zabrzmieć zbyt pretensjonalnie i zuchwale, toteż odwracam się, nieznacznie uśmiecham i dodaję:

– Ręce pełne roboty, panie Mariuszu.

Biorąc pod uwagę wymagania pana Mariusza, wiem, że „wszystko” nie będzie zrobione nigdy, wyobraźnia tego przysadzystego człowieka, który prawdopodobnie nie zaznał w życiu fizycznej harówki, wytwarza błędne i nierealne prognozy. Panu Mariuszowi wydaje się na przykład, iż wyłożenie całej dostawy soków to „robotą na góra pół godzinki”, manager – jakąś tajemniczą, znaną tylko sobie metodą – wyliczył również czas na przewiezienie palety ważącej jakieś osiemset kilo, na przeciągnięcie jej z rampy dostawczej na linię kas za pomocą starego, rozklekotanego przenośnika, i uznał, że czynność ta powinna zająć maksymalnie pięć minut.

Mój brzuchaty szef, w swoim trudnym do wytłumaczenia optymizmie, pomija szereg regularnych utrudnień, takich jak wiecznie zatłoczone alejki pełne biegających dzieciaków albo wadliwy sprzęt, o którym magazynier Wojtek powiedział, że to skrzypiące gówno pamięta Berlin Wschodni. Poza tym pan Mariusz zwykł kilkanaście razy dziennie przerywać mi pracę, do starannie sporządzonej listy zadań na bieżąco dokłada kolejne, przy czym wszyst-

kie są najważniejsze, niecierpiące zwłoki, do zrobienia „na już”, dlatego czasem myślę, że najlepiej byłoby się rozdzielić, powielić swój fizyczny byt poprzez pączkowanie albo jakiś inny cudowny proces. Szefostwo marketu nie chwali na głos swoich pracowników ani ich nie nagradza, aczkolwiek zdają sobie sprawę, że mój świszczący oddech i żółte plamy potu na bluzce są warunkiem utrzymania się na etacie. Więc zapierdalam.

Biegnę na magazyn. Żywiec, Muszyna, Primavera, Dobrowianka, ładuję zgrzewki do wózka jak leci, na oślep, jest upalne popołudnie i napoje znikają z regałów w zastraszającym tempie, a moim zadaniem, jak powiedział manager, jest ciągle pilnowanie półek, zawsze mają być pełne, ma się z nich, kurwa, wysypywać, ma być pięknie jak w telewizyjnej reklamie.

Zgubiłem gdzieś scyzoryk, palcami próbuję zdjąć folię ochronną z palety, kątem oka widzę, jak zbliża się do mnie kierowniczką zmiany Żaneta, muszę się dostać do średnio gazowanej, ten cholerny strecz nie chce odpuścić, a ona z pewnością czegoś ode mnie chce.

– Nie masz plakatu na ekspozycji z colą – stwierdza jakby od niechcienia.

– Okej, jak znajdę chwilę, to wydrukuję – mówię, nie przerywając szamotaniny z paletą średnio gazowanej.

– Powinieneś to zrobić TERAZ! – głos kierowniczki nabiera stanowczości. – A tak poza tym, to regał z tonikiem wygląda żenująco. Zrób coś z tym.

Nie mam wyjścia, więc przytakuję, Żaneta już nie odpuści, co pół godziny będzie przychodzić i sprawdzać, czy wydrukowałem plakat i powtarzać, że regał z tonikiem wygląda żenująco, pojutrze mam wolne, może gdzieś pojedę, może poczytam Dostojewskiego, a może zwyczajnie się najebię, rzucę w otchłań nicości; kiedy wreszcie przychodzi sobota, to ciężar tego, kim jestem i co mnie otacza staje się nie do zniesienia, dlatego piję, picie nadaje patosu zdarzeniom niewielkiej wagi.

Pędzę alejką pełną słodczy, ktoś pyta, czy wiem, gdzie jest pasta do butów, trzeba będzie wydrukować ten plakat, wciąż mam wrażenie, że ta praca mnie ogłupia, to

natrętnie uczucie nie daje mi spokoju, dlatego robię w głowie remanent z wiedzy o europejskich miastach, nie mogę sobie przypomnieć, co jest stolicą Albanii, układam w głowie różne bezsensowne definicje, nie, nie mam pojęcia, gdzie jest pasta do butów, proszę pana, w tym sklepie są setki tysięcy produktów, a ja tylko wykładam napoje, już wiem, to była Tirana, jakiś facet robi awanturę, bo nie zgadza mu się cena barszczu na paragonie, manager mnie zauważył, ożywił się na mój widok, odstawiam wózek koło mrożonek i idę się odlać.

Nad pisuarem wisi plakat z napisem: „ZAANGAŻUJ SIĘ! PAMIĘTAJ O UŚMIECHU. KLIENT JEST TWOIM PRZYJACIELEM”. Wczoraj wezwano mnie na dywanik do kierownika działu marketingu, dostałem upomnienie, powiedziano mi, że produktywność to nie wszystko, że za mało się uśmiecham i moja postawa nie zachęca do robienia zakupów, poza tym nie życzę klientom miłego dnia, a to niedopuszczalne, są przecież standardy, zasady, których trzyma się każdy dobry sprzedawca.

– To już twoje drugie upomnienie w tym miesiącu. Kolejne będzie oznaczać naganę, za którą potrącimy ci jedną dniówkę z wypłaty – ostrzegali dystyngowany kierownik do spraw marketingu. Siedziałem i gapiałem się na jego czyściutki mankiety, na długopis, który obracał w palcach, co jakiś czas stukając nim o blat szklanego stołu, i nie bardzo wiedziałem, jak się ustosunkować do tych słów, wypowiedzianych przecież z całkowitą powagą, zastanawiało mnie, czy ten facet faktycznie wierzy w to, co mówi, w końcu rzuciłem coś w stylu „okej, będę miał to na uwadze”, po czym wstałem, starannie odstawiłem krzesło i wyszedłem.

W toalecie brakuje mydła, nie ma też papierowych ręczników, podobno środki chemiczne w tajemniczy sposób znikają z naszego kibla, więc manager zabronił sprzątacze uzupełniania dozownika, wychodzę, wycieram dłonie w spodnie, pan Mariusz już na mnie czeka z wózkiem pełnym piwa.

– No, w końcu, gdzie pan tak długo był, panie Michale. Proszę zostawić na chwilę te wody, trzeba szybko

dołożyć piwo, tylko wie pan, tak raz – dwa, na jednej nodze, okej?

Popycham wózek w kierunku działu z alkoholem, manager idzie za mną, z daleka widzę Żanetę stojącą przy ekspozycji z colą, wciąż nie ma tam plakatu, regał z tonikiem nadal wygląda żenująco, po drodze panu Mariuszowi przypomniało się o jutrzejszej gazetce promocyjnej, pyta więc, czy mogę zostać „dwie godzinki dłużej”, tylko „dwie godzinki”, mój szef ma skłonność do umniejszania wykonywanej przeze mnie roboty, to nie są żadne „dwie godzinki” tylko dwie kurewsko długie godziny, ty chory popaprańcu, zresztą dobrze wiem, iż to nie było pytanie, zostanę dwie godziny dłużej, tak, kurwa, zostanę!

Sklepowa muzyka doprowadza mnie do szaleństwa, piętnaście popowych hitów zapętla się bez przerwy, to leciutka i przyjemna nuta, taka, która – według managera – sprzyja beztrudnej atmosferze zakupów, ten ogłupiający dźwięk skutecznie dryluje mnie z wszelkich rozsądnych treści, patrzę na sprzedawców biegnących z uśmiechem na twarzy, spoglądam na klientów kupujących trzy sztuki w cenie dwóch, to wszystko nie jest prawdziwe, to rzeczywistość stworzona przez marketing, wymuszone uśmiechy ekspedientów zdradzają zakłamanie, przypominają o farsie, w jakiej grają zarówno pracownicy, jak i konsumenci, a do której scenariusz napisały korporacje.

Nerwowo otwieram kolejne kartony, układam na półkach brązowe butelki, w końcu trafiam na wilgotne Opakowanie z Noteckim, kwaśny zapach świadczy o tym, że piwo musiało się zbić kilka dni temu podczas transportu, wkładam rękę do pudła, nagle, mimowolnie, jakimś odruchem wymuszonym z zewnątrz, z całych sił zaciskam dłoń na kawałku szkła. Rana jest dosyć głęboka, dostaję lekkich drgawek, jednak nie czuję bólu, nie, odczuwam jedynie ulgę, uśmiecham się, idę przed siebie, klienci z obrzydzeniem patrzą na lejącą się krew, przerażeni obserwują czerwone ślady, jakie niechcący zostawiam po drodze na błyszczących warzywach i owocach, sunę powoli między nimi, w głowie pobrzmiwa mi *Requiem* Mozarta, purpurowa linia znaczy drogę prowadzącą na zaplecze.



# Karol Pantelewicz

Ur. 1984 roku w Krakowie. Krakowianin, absolwent dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim, student sztuki mediów na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Laureat „Debuts”, konkursu dla „najbardziej utalentowanych młodych fotografów”. Interesuje się japońską estetyką „wabi-sabi”, pisze i fotografuje.

## **Czyżby Latynos i porsche**

W wieczór balu szliśmy wzdłuż torów tramwajowych. Różana i Wiśniowy zapodawali coś w żyły i pięknieli mi po bokach. Ja chełpiłem się swoim frakiem z lęków, zaniechań, natręctw, szyderstw i śmieszności. Wiśniowy chwycił mnie za dłoń i komicznie przekrzywił. Popatrzyłem na nią – opuszki palców oślepiająco pulsowały w jednym rytmie ze światłami mijanych kamienic. Zakręciło mi się w głowie. Ludzie na przystankach ustawili się w rzędkę i przypominali aleję wysadzaną topolami, jarzębiami, wierzbami, jaworami. Wszyscy w świątecznych nastrojach. „Zamknij oczy i obiecaj, że nie będziesz podglądać” – powiedziała Różana.

W pokoju nie było nikogo, a jednak ktoś wołał mnie po imieniu. Za oknem nie było balkonu. Z dachu natomiast widziało się wszystko: ambasadę Indii; ludzi poukładanych w warstwy w wieżowcu obok; ministerstwo; światełko w lodówce oświetlające szynkom półkę nawet przy zatrzaśniętych drzwiczkach; drzewa, kiedy się nie boją; palce Majki na szybie, kiedy się boi (taty); łódź na fototapecie Antka (zaraz nią odpłynie); rzeczy, które chciałem powiedzieć we właściwych momentach (schowane za bramą z blachy falistej); pana Andrzeja uśmiechającego się do woskowego posążka Matki Boskiej. Jeden z włazów na dachu dał się otworzyć, więc wyjąłem kartę egzaminacyjną i zacząłem schodzić w dół do swojej dawnej kamienicy. Po korytarzu kręcili się robotnicy, jakby Latynosi. Lokator spod czwórki wpisał mi na kartę niedostateczny za zaangażowanie, dziwka spod trójki dostateczny za kształt łuku brwiowego, starsza pani spod dwójki dobry za dobre chęci, autystyczny chłopiec spod jedyńki bardzo dobry za śmieszne miny do lustra, które robię, gdy jestem sam.



Wszedłem do swojego starego mieszkania. Ktoś puka do drzwi – po cichutku podchodzę, przytykam oko do judasza i tak zostaję, zasłaniając go, bo wiem, że jeśli się poruszę, to z drugiej strony można dostrzec odsłonięcie go. Po pewnym czasie nieznanemu udaje się otworzyć zamek, podważając zapadkę. Łapię włamywacza na gorącym uczynku. Taki licealny Latynos. Zapierdalam mu. Zapierdalam mu w przedpokoju – obok jest szafka na licznik gazowy, drewniane drzwiczki w białej farbie emaliowanej, po drugiej stronie drzwi do toalety.

I ten długi przedpokój i drzwi do toalety żenująco kojarzą mi się ze śmiercią babci, kiedy zabierali ją na wózku inwalidzkim do szpitala, a ja tylko za nią patrzyłem i nie wiedziałem, co zrobić, i nie pożegnałem się czy chociaż czegoś nie powiedziałem, bo szedłem do tej cholernej toalety wtedy właśnie i było wcześniej rano i nic prawie nie rozumiałem ze świata jeszcze w zaspaniu, ale fakt pozostaje faktem, że tylko mi tak mignęła i więcej jej nie zobaczyłem, bo u nas w rodzinie nie ma zwyczaju otwierania trumny, więc jak ostatni raz ją widziałem, to ostatni, nie ma żadnego „overtime”, czasu doliczonego, bonusu, dodatkowej szansy. Nie pożegnałeś się, to koniec. Pogrzebu też nie można nazwać pożegnaniem, bo co prawda już było mi smutno i atmosfera była odpowiednio przytłaczająca, czarna, ciężka, kleista, ostateczna, ale nie czułem żadnej obecności, żadnej bliskości. W tydzień po pogrzebie zauważyłem, że dokładnie nie pamiętam jak babcia wyglądała. Nigdy nie miałem pamięci do twarzy i przestraszyłem się, że całkowicie ją zapomnę, że się rozmyje szczegół po szczególe, ale na szczęście są zdjęcia, więc gdy zapukam do bram, to będę mógł powiedzieć „O, cześć babciu, to musisz być ty, bo wyglądasz zupełnie jak na zdjęciu”.

Latynos, przepraszający i zdziwiony, patrzy, jak mamroczę o babci – czekamy na policję. Wyjawia mi, że robotnicy od miesiący się tak włamują i podjadają mi rzeczy z lodówki. Robię wykład umoralniający, że przecież mogli poprosić, to ja i sąsiedzi na pewno byśmy dali coś do jedzenia. Żal mi go.

Zaczyna już do mnie docierać, że to mieszkanie jest dawno nie moje, że jest niemożliwe. Chcę uciekać. Mam skądś porsche. Pośpiesznie, żeby nikt nie widział, pakuję najpotrzebniejsze rzeczy do bagażnika z przodu samochodu. Docieram nim do domku na przedmieściach. Jest noc, a to nie jest domek na przedmieściach, tylko pieprzony dom plenerowy, chaos i zgotowanie, wygotowanie głów i parujący ludzie.

W tej parze, jak we mgle, przechodzę do kuchni, natykam się na pannę Fiołkową i para znika, żarówka w lampie jaśnieje, papierowe filtry do kawy trzepoczą i wszystkie szafki klaszczą drzwiczkami na cześć panny Fiołkowej. Coś tam magicznie, w pełnym skupieniu i z powagą przygotowuje do jedzenia. Zawsze taka mistycznie poważna. Zagajam, bez większej reakcji, w końcu ją obejmuję, chociaż wiem, że nic z tego nie będzie, bo ona ma chłopaka w kurwa nie wiadomo gdzie, ale chuj, ma. Stoimy obok lodówki, a w lodówce są jakieś obrazki z przeszłości. W lodówce jest historia, są pamiątki i dokumentacja. Przeglądam jej zdjęcia, swoje zdjęcia, zawiąnięcia, wizytówki i małe kartoniki z symbolami. Odczytuję z symboli miejsca, ukryte miejsca, całe w ustach i podbrzuszach. Papugi krzyczą tam westchnieniami i wpadają w ściany.

Dostaję miejsce w sześciuosobowym pokoju, ale już wiem, że nie mogę zostać, że mnie nakryją i odkryją. Rozmawiam z promotorem; on się dopytuje o pracę, niebezpiecznie konkretnie. W końcu mówię mu, że nikt mnie nie rozumie, że moje rzeczy są niekomunikatywne, a gdyby były, wszyscy dowiedzieliby się, jak bardzo jestem pojebany i nieszczęśliwy i byliby tym przytłoczeni. Dzwoni budzik, a właściwie komórka, bo kto teraz używa budzika. Mam na komórce jedną nieprzeczytaną wiadomość: że wszyscy żyli niepotrzebnie długo i zajebicie kurwa po chuju że ja pierdołę szczęśliwie.



# Krzysztof Pietrala

Wczesne lata osiemdziesiąte. Etnolog. Nie pracuje w zawodzie. Stacjonuje w Krakowie.

\*\*\*

Drewniane schody delikatnie w ciszy zawijały się ku górze. Pstryknął guzik światła, ale nic. Dalej. Z mroku sieni dla wzroku nieobytego z ciemnością wypełzają kształty. Zwierzęce cienie – to one, na prawach geometrycznych analogii, pojawiają się tam, gdzie nie można być pewnym form rzeczywistości. Sunął dłonią po poręczy zgiętej jak żmija, a nogi, wyczuwszy rytm stopni o kształcie pysku krokodyla, mogły je brać – mimo, że wspinał się na nie po raz pierwszy – nawet po dwa. O takie domy nikt nie dba, pomyślał. Tu, pod drzwiami nie zostawia się butelek z mlekiem. W takich domach umiera się bez śladu.

Na końcu schodów drzwi. Samotne w głębinie korytarza. Pstryknął guzik światła, ale światło w nocy jest luksusem, na który nie pozwalają sobie takie domy.

Podłoga skrzypi po same drzwi. Klamka cicho jęczy i oddycha z ulgą. Jest to niewielki pokój z kuchenką. Pod ścianą stoi łóżko, na nim śpi stara kobieta. Obok łóżka stoi fotel, w nim, głowa na bok, zasnęła młoda kobieta. Jedna z tych, które rozmieniają urodę na cnotę czuwania w poblasku lampki chorującego. Pośrodku stół, wysłużona Biblia. Na drugim fotelu jak kot pręży się płomień i rozbudzony przeskakuje na firankę, pościel... W pokoju jest więcej sprzętów, ale te powoli spowija dym.

Ręce, które przełączały guzik światła, próbują teraz ocucić młodą kobietę. Kładą ją na dywanie i w dwóch ruchach zawijają węń. Matka, matka, szepcze. Już po niej, odpowiada męski głos. Stołek, poza tym, że urządzenie do siedzenia, może jeszcze stłuc szybę w oknie. Pokój jest wysoki, ale płomień sięgnęły już sufitu. Skok. Lądowanie. Ból. Cholera, zaklął językiem Napoleona.

Pierwsze zdjęcie w gazecie to portret umorusanego sadzą mężczyzny na tle tłącego się budynku. Wpatruje się w nie kobieta na szpitalnym wyciągu. Płacze. Drugie

zdjęcie przedstawia tego samego mężczyznę uśmiechniętego i ogolonego; przez wyciągnięte do przodu ręce przerzucony ma nadpalony dywan. Kobieta wierzchem dłoni ociera mokry policzek. Na trzecim zdjęciu dwóch mężczyzn i uścisk dłoni – jednego już znamy, drugim jest burmistrz miasteczka, będącego areną zająć. To zdjęcie kobieta ogląda już na ławce w parku. Ubrana jest w pożyczoną czarną sukienkę, która delikatnie nagrzewa się w słońcu. Wiosenny powiew lekko trąca woal, odsłaniając gładki policzek.

Ułynęła chwila, zanim kobieta odwiedziła mężczyznę. Wychowanie pomieszane z wdzięcznością, stara wiara w symbole i młodość gotowa do poświęceń podpowiadały jej tylko jedną możliwość. On zgodził się z miejsca. Na wesele każdy przyniósł coś od siebie, bo mężczyzna prócz momentu sławy miał niewiele więcej niż tyle, ile było w pokoju, który spłonął. Odtąd trwać miało wielkie szczęście, które – było jasne jak słońce – nigdy nie zgaśnie.

Tydzień po ślubie mocno zacisnął pięść. Zatrzeszczał dom w posadach. Życie toczyło się dalej, a kolory, im ciemniejsze, tym chętniej żywiły się światłem. Te jaskrawe spłowiwały po chwili. Przeczytane gazety pofrunęły do pieca. Kobieta zatrzymała w zielniku serca kilka wyciętych zdjęć, które wiecznie zielone przetrwały okrągłe trzydzieści pięć lat, aż do nagłego, jak staje serce, upadku torby z jabłkami przed blaszanym straganem. W czasie obowiązku, jaki sobie wyznaczyła szczerze, nie było miejsca na ani jedną łzę. Nigdy nie powiedziała niczego na głos. On cały czas powtarzał jak to podłożył ogień w pokoju jej matki.



# Marek Pijanowski

Ur. 1972. Z wykształcenia socjolog, kulturoznawca, mena-  
ger kultury. Poetycko debiutował w „Gazecie Wyborczej”,  
prozatorsko w dwumiesięczniku literackim „Topos”.  
Współzałożyciel grupy „Poeci za kratkami”. Stypendysta  
artystyczny miasta Torunia. Dwukrotny finalista konkursu  
na opowiadanie w ramach Międzynarodowego Festiwalu  
Opowiadania we Wrocławiu, jego opowiadanie *Druga  
krzyżowa* znalazło się w 2014 roku w pokonkursowej  
antologii *Nowe Marzy*. Wyróżniony drukiem w konkursie na  
opowiadanie „Otwartym tekstem” (wraz z J.K.) za tekst  
„Windokrąg”. Wyróżniony w Konkursie Absolutnie Frywol-  
nych Etiud Literackich KAFEL 2014 (Festiwal Himilsba-  
cha), druk opowiadania *Kłusownik światła* znalazł się  
w pokonkursowej antologii. Wyróżniony w konkursie „Poli-  
tyki” „Lato z kryminałem” za opowiadanie *Agent 07 Set*.  
W 2016 roku ukaże się pierwsza część jego septalogii  
kryminalnej *ZERO ZER*.

## **Janusz Rudnicki pisze list miłosny**

Piszę do Ciebie, bo, kurwa, mam talent. I co mam z nim zrobić? Namydlić go? Wydrapać pumeksem? Spłukać pod prysznicem? Piszę do Ciebie, bo, kurwa, mam uczucie. A ono, to uczucie, jest jak ciekący wąż pod prysznicem. Kapie na mnie, bezczelne jest, i nieszczelne zarazem. Myślę, może to nie uczucie, a woda tak kapie, bo przecież ja wiecznie jestem pod jakimś prysznicem. Ale patrzę do góry. Nie pada. Patrzę w dół. Kurka nie odkręciłem. To skąd wiem, że cieknie, może wcale nie cieknie?

Chcę to już przeskoczyć jak najszybciej. Jak przez kozioł w dzieciństwie, w Kędzierzynie Koźlu, który nie kozłem był, a przerębłem. Wziąłem rozbieg, uniosłem się, lecę, a tu z tej wody, co nadal jest przerębłem, ręka lodowata chwyta mnie palcami za serce. Skąd ona tu? Skąd ja w niej? Ściśnięty, niczym jakaś antystresowa piłeczka, za serce. I przyszło mi do głowy nad tą wodą, co spoglądała na mnie, jak przez judasza, tym przerębłem. I przyszło mi, nad tym lodem, co pod nim topiłem swoje pierwsze do Ciebie polucje. Przyszło mi tymi palcami za serce, że powinienem Cię poprosić o rękę. Ale skarciłem się zaraz. Na damski chuj mi cała ręka? Dłoń przecież wystarczy. Stoję. One biegną do mnie. Jedna z przeszłości, druga z przyszłości. Przyszłość jest młoda, przeszłość stara (tak jakby mogło być odwrotnie). Przebiegają przeze mnie. Ja z nimi, do Ciebie, po dłoń Twą, nie rękę, rzecz jasna.

„Halt” – nagle słyszę. „Halt” altem. Odwracam się. Niemiec stoi w mundurze. „Hande hoch”, mówi. Dobrze mówi, bo należy podnieść nie dłonie, a całe ręce. Choć źle mówi, bo przeszkadza mu, że w miejscu publicznym palę. Idzie mostem drewnianym do mnie, po dłoń Twą, nie rękę, rzecz

lodem, i wyjmuję bloczek z mandatem. Dam mu w łapę, myślę. I sam się w myślach karcę. W co ja mu te pieniądze wsadzę? W dołek z drugiej strony łokcia? Nie, nie w żadną łapę ani rękę, tylko w dłoń, a dokładniej pomiędzy palce. Daję, nie jemu, a sobie, w twarz, z otwartej. I jeszcze jedną, tym razem już sobie, szansę. On idzie, most trzeszczy, ja wrzeszczę: „lepiej palić papierosy niż za sobą mosty”. On odwraca się, widzi płomień, wierzga, w dół leci z tym całym altem, haltem, mostem. Płomień idzie na mnie. Chuj nóg nie ma, a zapierdala coraz szybciej i szybciej. Ja dłużej już nie mogę, musisz to wiedzieć, ja płonę!





Fot. Michał Miziński

## Sławomir Płatek

Ur. 1974. Debiutował w prasie („Dziennik Bałtycki”) w roku 1995. Na początku lat 90. związany z trójmiejską grupą poetycką Almanach. Po jej rozpadzie epizodycznie współdziałał z lokalnymi podziemnymi zjawiskami. Reaktywowany przez nierozpoznane czynniki po roku 2006. Współzałożyciel portalu i stowarzyszenia Salon Literacki, publicysta. Autor książek poetyckich *Bez imienia* (2010), *Prześwietlenie* (2011, pod pseudonimem Anna Kalina Modrakis), *awaria migawki* (2012), *Wiersze dla Sophie Marceau i innych kobiet z którymi spałem* (2013).

# Kombinatoryka zbiorów skończonych

Wracalem ze sklepu o zwykłej porze. Jednej ze zwykłych pór. Po południu wychodzę kupić coś na obiad, w momencie, kiedy jest najsilniejsze słońce. Nałapać luksów do oczu, potem lepiej śpię. Tuż przed dziesiątą wieczorem wychodzę drugi raz, po alkohol. Jeśli nic nie narusza mojego rozkładu tygodnia, robię tak zawsze. Omijam hałdy szkieł na chodnikach, wesołych pijaczków na klombach, druty kolczaste wokół krzewów kolczastych posadzonych w takich miejscach, żeby nie dało się najprostszą drogą dotrzeć tam, gdzie się chce. Geometria zawsze górowała nad ergonomią.

Widząc kolejną ścianę z kolejnym sprayowym napisem, zatrzymałem się. Ktoś, z wyraźnie pijackim akcentem, wykrzyczał „KOCHAM FRANCISZKE”. Bez „ę”. Kiedy to powstało? Przystanąłem, powąchałem. Świeże, ale jak świeże? Żaden ze mnie Indianin. Żeby chociaż po ASP, ale nawet tego nie przerabiałem, nie znam zapachu farb. Napis mógł powstać godzinę lub pięć godzin temu. Pachniało albo śmierdziało, w każdym razie na pewno dzisiejsze.

Problem był w tym, że ja też kocham Franciszkę. Rzadkie imię.

Wracalem do domu, mijając szkła po butelkach od piwa i tanich win. Jedna szyjka od dwustumililitrowej Żołądkowej Gorzkiej. Tylko tyle lub aż tyle. Zależy jak patrzeć. Patrzyłem pesymistycznie. Nigdy, o żadnej porze nie widziałem ludzi tłukących butelki pod sklepem lub w okolicy. A szkła codziennie nowe. Odrzuciłem teorię samoródtwa stłuczek i wtedy pierwszy raz zrozumiałem jasno, że życie mnie ignoruje. Najważniejsze rzeczy, jakie mogą się zdarzyć, zdarzają się tam, gdzie mnie nie ma.

Najpiękniejsze, najtrudniejsze, naj – jakiegokolwiek. Zawsze chwilę obok. Jak mogłem nie spotkać człowieka, który pisał sprayem, że kocha Franciszkę? W sumie drobiazg. Pamiętam, że pierwszy raz to nienazwane jeszcze przecucie dotknęło mnie dużo wcześniej. Byłem chory, moja klasa poszła na wycieczkę do zoo w Starej Oliwie. Nie widzieli zwierząt, a przynajmniej nie te, które chcieli. Wierzę im, sam oglądałem potem wyrwany asfalt na ulicy Chłopskiej. Ale dziś, kiedy ktoś pyta mnie, czy widziałem czołgi na ulicach w stanie wojennym, mam do wyboru kłamać albo powiedzieć, że ja jeden nie widziałem.

Nie widziałem – nie było ich. Niby nic, a jednak. Trudno wytłumaczyć to poczucie straty. Czuję się jakiś... pominięty? Wykluczony ze zbiorowości? Poza tematem rozmów, niezintegrowany, pozbawiony zaufania. Nie tylko bez dowodów, ale co najważniejsze, bez jakiegoś ogniwa w życiu. Za to z paranoicznym przekonaniem w głębi, że czołgów jednak nie było, że to wszystko zbiorowe oszustwo.

To nie to, żeby ludzie mnie nie chcieli. Opowiadają potem zwykle „Och (lub ech, lub uuu, lub kurwa, zależnie od okazji), szkoda, że cię nie było!”, więc miałem być, powinienem być, było być. Ale nie było się. Spraye mnie chciały, szkła tłuczone, szyby rozprysłe, pijaczkowie pobici przez pijaczków, krew na chodniku, śmieci na klombach, naćpane studentki pokaleczone w drutach kolczastych wokół krzaków kolczastych, policja zgarniająca włamywaczy z monopolowego. Czołgi na ulicy Chłopskiej i pawiany wypuszczone z zoo, bo dozorca się przeraził, że wojna. Podczas karmienia pawianów. Wszyscy mnie chcieli, a mnie nie było.

Kiedy zapytałem „czy”, odpowiedziałaś, że tak. To musi mi wystarczyć, błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli. Nie było mnie tam, jak zawsze, kiedy doniosłość unika mnie. Chodziło o dźwięk. Kolejne rzeczy wielkie, których mogę się jedynie domyślać. Jak bardzo krzyczałaś, dowiedziałem się z opowieści sąsiadów. Wszyscy słyszeli te krzyki. Oprócz mnie. Znam tylko twój różnoraki oddech, szybszy, wolniejszy, ochryply. Jednak

wiem, że krzyczałaś i dałbym wiele, żeby, siedząc obok, usłyszeć to, żeby zobaczyć twoje wyschnięte usta i przekonać się, czy faktycznie potrafisz nadwyręzać delikatne gardło, o które zawsze dbałaś. Takie rzeczy widzi się tylko raz w życiu.

A jeśli się nie zobaczy – przepadło.



# Rafał Różewicz

Ur. 1990 w Nowej Rudzie. Redaktor naczelny „2Miesięcznika. Pisma Ludzi Przełomowych”. Autor zbioru wierszy *Product placement* (Zeszyty Poetyckie, 2014), za który był nominowany m.in. do Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius w kategorii „debiut roku”. Mieszka we Wrocławiu.

## **Pies heimatański** **(fragm.)**

– Kręcą się cały czas – mówi Martin Jüngst. Lat 55, aptekarz. I gdy to mówi – wąż, który codziennie pielęgnuje przed lustrem, idzie raz w górę, raz w dół, dając przykład małżonce Ewie, której głowa przyzwyczaiła się mężowi we wszystkim przytakiwać. Ten otyły mężczyzna, weteran I wojny światowej z blizną na pośladku, którą wyniósł spod Verdun zamiast rannego kolegi, a następnie został wcielony do lokalnego oddziału Volkssturmu, gdzie długo nie zabawił z racji kapitulacji, zwołał potajemne zebranie niemieckich mieszkańców bloku, aby obmyślić plan działania na najbliższe tygodnie.

Zebranie ma miejsce na strychu jego klatki. W niej jeszcze mieszkają sami Niemcy: oprócz Jüngstów są to Epsteinowie i Zweigowie – para kupców, których szyld podzielił los szyldu krawca Schmitta. Wśród zebranych nie brakuje też Eckermannów, choć oni właściwie są już spakowani, więc powiedzieć, że jeszcze tu mieszkają, byłoby nadużyciem. Ale przyszli ni to z grzeczności, ni to się pożegnać, bo lada dzień wyjeżdżają do Monachium. Co prawda, wszyscy obecni czekają jeszcze na Neumannów, ale wypadło, jak słusznie zauważył pan Martin, a pani Ewa oczywiście przytaknęła temu pomysłowi, zaproponować jakiś temat, najlepiej rozluźniający napiętą atmosferę. Kiedy więc wchodzimy: mama, ja, no i Helga – pan Jüngst właśnie mówi o tym kręceniu się, a my oczywiście zaprzeczamy, że też coś, proszę pana, my prosto z wieczornej modlitwy, jednak weteran I wojny światowej to weteran i zdenerwowany każe nam czym prędzej siadać.

– Kręcą się cały czas. Przekłęci szabrownicy nie spoczną, dopóki nie zrównają z ziemią naszej ziemi. Tej ziemi – powtarza z naciskiem, podczas gdy jego wąż

wznoszą się i opadają z taką szybkością, że pani Ewa nie nadażać przytakiwać. – Tak dłużej być nie może. Panoszą się wszędzie, wynosząc z domów naszych niemieckich sąsiadów, bo tę dzicz nie można nazwać naszymi sąsiadami, co popadnie. To nie są ludzie, to kryminaliści, a my powinniśmy pilnować niemieckiego mienia. Nie dopuszczać do sytuacji, w których meble Straussów, którzy mają przecież wrócić, bo mówili jak uciekali przed Sowietami, że tylko na jakiś czas wyjeżdżają, są ładowane na ciężarówkę i wywożone nie wiadomo dokąd, a ich ogród przypomina przeorany cmentarz. Jesteśmy Niemcami, czy nie w końcu?! – pan Martin patrzy złowrogo po sali, tak że wszyscy zamierają ze strachu. Bo jego wąs jest w tej chwili w podobnym bezruchu, tyle że w górze i on w tej pozycji jakby symbolizuje władzę, którą chce sprawować nad rządem naszych dusz pan Martin. Ten otyły człowiek przechadzający się od lewej do prawej wojskowym krokiem zamierza tu, gdzie jedyna świecąca żarówka przypomina zawieszoną na drucie czaszkę, powołać do życia armię strażników – duchów czuwających nad dobytkiem Niemców. Po chwili kontynuuje z wściekłością: – To nieprawda, że administracja polska panuje nad sytuacją. Bydlaki. Udają, że nic nie widzą, mało tego: jeszcze sami przyłączają się do tych band i rabują, ile wlezie! Po czym, z kroplami śliny na wąsach, zwraca się do mamy: – Pani Neumannowa, myśli pani, że ten karzeł, który pozwolił, jak im tam, tym, nie mogę wymówić nazwiska... tym Polakom, zając po nieboszczyku Hoffmannie mieszkanie, to on jedyny, psia mać, sprawiedliwy?! Sam widziałem, jak nocą zakradł się do tego opuszczonego domu nad rzeką i wyniósł coś, co przypominało porcelanę!

– A ciebie, drogi Martinie, jakie to sprawy zatrzymały przed pójściem spać w środku nocy? – ironizują Eckermannowie, którzy na pewne sugestie mogą sobie pozwolić, bo za kilka dni będą w Monachium. I już nic ich nie obchodzi.

A dom jest nie byle jaki. Powiadają, że urodził się w nim sam Friedrich Wilhelm Otte, generał-major Wehr-

machtu. Jedyńy wojskowy z tej dziury, który zrobił karierę na frontach ostatniej wojny. I jak na prawdziwego żołnierza, którego w rodzinnej miejscowości ogłoszą potem bohaterem walk o sprawę niemiecką, przystało, zginął w czasie ofensywy krymskiej pod Sewastopolem w 1944 roku. Żeby jednak otrzymać wymarzony awans, trzeba było zrobić coś, co przejdzie do historii wojskowości. Więc Friedrich Wilhelm Otte, któremu zawsze było mało, choć na koncie miał cztery Żelazne Krzyże – bo z niego był taki aryjski Jessie Owens – postanowił wyrwać ten stopień, nawet za cenę najwyższą. I poległ świadomie, wystawiwszy się na ostrzał, krzycząc: – strzelajcie do mnie! Co mi tu szeregowych wybijacie, jak macie na tarczy pułkownika! – aż za to gadanie dostał między oczy. A potem pośmiertny awans.

Dom położony jest nad brzegiem rzeki, z którego widać po drugiej stronie zakład H. Pollacka. Niebawem zostanie przemianowany na Zakład Przemysłu Jedwabniczego „Nowar”, ale teraz jest noc i my w środku nocy. Może z Hermannem nie wzięliśmy sobie rozkazu weterana I wojny Martina Jüngsta do serca, bo przeżyliśmy II, ale namówiwszy do tego zaspaną Jutę, idziemy sprawdzić, czy rzeczywiście tysy karzeł z administracji zapuszcza się do wspomnianego domu. Już mam w głowie taki obrazek: miły człowieczek, ale na tyle bezbarwny, że idealnie pasujący do pracy za biurkiem. Noworudzki klucznik, trzymający w sejfie klucze do wszystkich opuszczonych domów, opychający pod stołem te większe, dłuższe, o fantazyjnych kształtach. Ile? Tyle a tyle, dobrze, proszę, dziękuję, choć jam komunista, ale wiecie – muszę z czegoś żyć w tych czasach, do komunizmu droga daleka, a trzeba mieć za co udać się w podróż... Prowizja od każdego znajdującego się wewnątrz mebla o odpowiednich wymiarach. Co też, ludzie, nie zamierzam z nikogo zdierać, po prostu i mnie należy się to i owo. Jak mi podpadniecie, wymienię cichaczem zamki. Jak wejdziecie? Nu, nie da rady, wróćcie do mnie z płaczem, a ja pokręcę ze współczuciem głową. Nauczmy się zatem współpracować. I mówi to, zacierając spocone ręce. Czy



aby na pewno? A może pan Martin chciał nas nastraszyć? – Bu! – Jucie zbiera się na żarty, ale nam, chłopakom, nie jest do śmiechu. Jako pierwsi wychytujemy dziwne odgłosy dochodzące z domu. Słysząc przekleństwa, trzask przewracanych mebli. Chyba łysy człowieczek nie tak się z nimi umawiał. Chowamy się w krzakach. W oknach, w których wybito szyby, dostrzegamy przebłyski latarek. Szmery bajery w kuchni, salonie. Cienie na ścianach. Jęki wydawane przez podłogę. Gdyby była z nami mama, usłyszałyby, jakie to irytujące. Chyba są we trzech. Jeden pewnie na czatach. Tylko z drugiej strony. Próbuje zerwać podłogę. Mają łomy, broń. Szukają czegoś. Gdy odrywają deski, jeszcze bardziej klną. Konstelacja przeklętych gwiazd. Ten drugi to Kazik, bo tamten mówi, żeby się nie opierdalał, tylko zapierdalał. Czasu mają mało. Jest coś? Jest. Pokaż. Zaraz. My się skradamy. Pod stopą Juty pęka gałąź. Cicho! Słyszałeś, Witold? Ktoś tu jest! Też coś. To pewnie jakiś zwierz. Mówię, że ktoś tu jest. Kto tam!? Idioto, myślisz, że ten ktoś ci odpowie? Nie pierdol, tylko jeb to. Czasu mamy mało. Wzięłeś? Wziąłem. Mówię ci, że coś słyszałem. Bicie swojego serca słyszałeś, bo taki byłeś zestrachany. Dobra, wiejemy stąd.

I my wiejemy.

Przez resztę nocy nie mogę spać. Pan Martin jest od nas cwańszy. Przeżył o jedną wojnę więcej. Witold to ten karzeł, który Kowalikom dał mieszkanie po Hoffmanie. To urzędujący szabrownik. Nie mam wątpliwości. Ale mam wątpliwości co do Juty. Gdy uciekaliśmy, znienacka chwyciła mnie za rękę. A to co innego niż potknięcie w progu mieszkania. Nie był to instynkt, czułem, że zrobiła to celowo. Pięć delikatnych palców lewej dłoni gorączkowo szuka moich; pośród pokrzyw, sterczących kamieni, zdradliwych gałęzi. Pięć palców zaciska się, żeby paznokcie mogły wbić się w niedomytą skórę. Jeszcze mocniej, im bardziej Hermann zostaje w tyle. A ja się nie bronię. Nie mam czasu, mój bieg jest szybszy od mych myśli. Dopiero kiedy jesteśmy bezpieczni i Hermann, zdyszany pogonią za nami, dołącza do nas, analizuję to, co się przed chwilą wydarzyło. Coś z pewnością. Tam, w rodzinnym domu

Friedricha Wilhelma Otte, i kilkaset metrów dalej. W miejscu, które podobno było pięknym ogrodem w momencie narodzin przyszłego majora Werhmachtu.



# Maja Staśko

Krytyczka literacka, doktorantka interdyscyplinarnych studiów w Instytucie Filologii Polskiej UAM. Publikuje m.in. w „Ha!arcie”, „Wakacie”, „eleWatorze”. Pracuje nad doktoratem o polskiej poezji niezrozumiałej po 1989 roku.

## **Elżbieta II przyjechała do Rzymu w liliowym płaszczu i w udekorowanym kwiatami kapeluszu w podobnym odcieniu**

Obudziła się. Przywitaniom nie było końca.

Cześć – jeden.

Cześć – ona.

Cześć – drugi.

Cześć – ona.

Cześć – trzeci.

Cześć – ona.

Cześć – czwarty.

Cześć – ona.

Przywitaniom nastąpił koniec, gdy ktoś zapytał „Jak się masz?”.

Jak się masz? – ktoś zapytał.

Wtedy nastąpił koniec przywitaniom.



## Wanda Szczypiorska

Ur. w Gdyni. Mieszkanca aglomeracji warszawskiej, z zawodu artysta plastyk. Prozę publikuje od roku 2002, początkowo w pismach papierowych, a obecnie w literackich magazynach internetowych.

## Exodus

Słysząc huk ognia, trzask palącego się za nimi domu, a one leżą w kartoflisku. Inne domy płonęły również, ale głosy, krzyki były stłumione. Tam byli przecież Niemcy i coś się działo, coś straszego. Leżały nieruchomo, dziecko też, nie odważyłyby się podnieść głowy. Udało im się uciec jakimś cudem, zrzędzeniem losu chyba, zabrały nawet koldrę i poduszkę, a także dokumenty, bo ten ich domek był ostatni, może pierwszy, licząc od strony lasu i nieco na uboczu, a więc wiedziały, co się dzieje. Dom wynajęty był na lipiec. W sierpniu nie było już powrotu. Z daleka widać było łunę nad Warszawą. Jeszcze pod koniec lipca dziadek ich odwiedził, a potem wracał w tamtą stronę. W stronę Warszawy. Wtedy widziały go po raz ostatni, nie wiedząc jeszcze o tym, a mimo to jak gdyby przeczuwały, bo stały i patrzyły za nim, dopóki nie znikł gdzieś daleko. Dziewczynka zapamięta to na całe życie. Dziadka, jak się odwraca, macha ręką, raz, drugi, trzeci, a potem już go nie ma. Wydawał jej się jakiś inny, niecodzienny, ubrany w spodnie pumpy i narciarskie buty. Nigdy go więcej nie zobaczy.

Leżały w kartoflisku nieruchomo, Maria i matka Marii sparaliżowane strachem, a dziecko się nie bało, a może tego nie pamięta? Pamięta tylko zapach ziemi i to że leży w kartoflisku. Matka na wyciągnięcie ręki, a babka dalej, niewidoczna. Słysząc krzyki, strzały, warkot odjeżdżających samochodów i zapada cisza. A jednak minie sporo czasu zanim ośmielą się poruszyć. Domu już nie ma, komin tylko sterczy. Coś się dopala. Cisza. Potem okaże się że oprócz nich jest jeszcze tamtych dwoje, ona i on. Też przeleżeli w kartoflisku. Tamci nie wiedzą co się stało i one też nie wiedzą. Nie ma nikogo. Wieś jest pusta.

Kiedy podeszły do pogorzelniska było już dobrze po południu, bo wszystko to zaczęło się o świcie. Z domu

pozostał tylko komin, piec kuchenny i osmolone garnki, a na jabłonce upieczone jabłka. Nie ma już ani jednego domu we wsi, a one przecież muszą spędzić jakoś noc. Wydaje im się że na skraju lasu jest bezpieczniej. Tamtych dwoje uciekinierów też tak myśli, wchodzą na rozłożystą sosnę, bo zdaje im się, że będą niewidoczni z dołu. Pod lasem jest głęboki suchy rów, Maria rozkłada kłodę w rowie. Czuje determinację, rozpacz, a nie strach. Jest jakieś jutro, coś musi przecież postanowić, uciekać, ale gdzie? Trzeba przeczekać noc. Kulą się obok siebie na dnio rowu, lecz nawet nie próbują zasnąć. To, co dziewczynka zapamięta i co kojarzyć jej się będzie zawsze z ogniem, strachem, nocą spędzoną w tym wilgotnym rowie, to komary.

O świcie tamci dwoje, którzy spędzili noc na sośnie, odchodzą w swoją stronę, a one muszą przejść przez las. Za lasem gdzieś są inne podwarszawskie wsie, tory kolejki do Podkowy Leśnej, gdzie ktoś udzieli im pomocy, bo tam się schronił wuj z rodziną. Przez las, wydaje im się, będzie najbezpieczniej. W lesie było AK. Kiedyś powstańczy oddział gotował na podwórku zupę w kotle. Są głodne, ale nic nie ma do jedzenia. Lasu nie znają. Lato to nie był odpowiedni czas na wałęsanie się po lesie, gdzieś tam stacjonowało NSZ, ludzie mówili o tym z niepokojem. Ścieżka prowadzi przez głęboki jar, ale donikąd, kończy się na wysokim wyrobisku. Trzeba wyjść z jaru, iść na ślepo. Trochę na zachód, trochę na południe. Babka jest chora, nie ma sił, ale nie mówi o tym, idzie. Idą przez gęste chaszczce, tak bezpieczniej, bo Niemcy pewno będą szukać tych, którzy zdołali uciec ze wsi. Tak. I to się dzieje. Słyszą szczekanie psów. Jeszcze daleko, ale być może idą tyralierą? Więc Maria musi wepchnąć obie w krzaki, przykryć liśćmi, bo nic innego nie ma, sama się chowa obok, tobołek z kłodą też upycha. Leżą. Tamci są coraz bliżej, bliżej, słyszą już na wyschniętej ściółce szelest kroków.

Dziewczynka widzi buty, widzi psa, wydaje się że żołnierz jest tuż, tuż, lecz on ich jakby nie dostrzega. Kiedyś pomyśli sobie o nim, że może nie chciał ich zobaczyć, co można wiedzieć o człowieku? Niemcy prze-

chodzą, cichnie szelest kroków, a one leżą i czekają. Wrócą, nie wrócą? Chyba nie. Wreszcie podnoszą się ostrożnie, idą dalej. Gdzieś przecież musi być brzeg lasu. Nie były w lesie same. To tu, to tam ktoś się przemyka, jacyś ludzie, równie jak one zdezorientowani.

A potem las się kończy, jest ściernisko, dalej chałupy, gospodarze. Wiedzą już o spaleniu wsi. Podobno kara za AK, tak mówią. Maria nie prosi o nic do zjedzenia, nie potrafi. W jednej z chałup mają na sprzedaż chleb, nie za pieniądze, za pierścionek. Maria zdejmuje z palca ten z szafirem, zostały jeszcze dwa. Chleb jakiś dziwny, szary w czarne cętki. Ktoś mówi; z trocin. Ale smaczny. Krąży pogłoska, że w sąsiedniej wsi jest jadłodajnia RGO. To dość daleko, to kawałek drogi.

Stara kobieta idzie z trudem, Maria nie może pomóc, niesie tobolek z kołdrą, niesie małą. Wydaje się, że trwa to bardzo długo, a przecież to dopiero przedpołudnie. Maria spogląda na zegarek. Kiedyś dostała go od męża. Złoty, grawerowany, cenny. Dobrze, że miała go na ręku. Jest jedenasta, nie wiadomo, czy dojdą do Podkowy Leśnej jeszcze dziś. Ludzie mówią, że to trzydzieści kilometrów. Po drodze jest miejscowość letniskowa, gdzie urządzono jadłodajnię. Muszą tam dotrzeć i coś zjeść. To dawna szkoła, w sali porozstawiane stoły, obok kuchnia. Dostają zupę z dyni, bardzo smaczną, wydaje się najlepszą, jaką kiedykolwiek jadły. Ale czy będą miały siłę dalej iść? Babka mówi, że nie da rady, a Maria jest bezradna. Rozmawia z tym i owym, ci ludzie jakby są bez twarzy, obojętni. Ale pogłoski się rozchodzą. Podobno jest tu taki chłop, gotowy podwieźć ich furmanką. Musi się zebrać więcej osób. I oczywiście nie za darmo. Pieniądzy nie chce, woli kosztowności. Maria idzie z nim porozmawiać, może się za pierścionek uda, ale nie. Tamten pierścionka nie chce, to za mało za trzy osoby. Widzi złoty zegarek. Za zegarek, tak. Ale zapłatę chce od razu, zostawi żonie, bo przecież nigdy nie wiadomo, czy nie rozwalą ich po drodze. Maria daje zegarek chłopu. Ostatnią rzecz, jaka została jej po mężu.



Z woźnicą pertraktuje kilka osób, ci, którzy jeszcze coś tam mają. Wreszcie ładują się i moszczą, wyruszą późnym popołudniem, będą jechali nocą, tak bezpieczniej. Wóz na drewnianych kołach jest nieduży, deski, tobołki, kilka kobiet, starców. Ciągnie go jeden koń. Podobno muszą skręcić w boczną drogę, więc podskakują na wybojach. Siedzieć na deskach niewygodnie, ale jadą. Na drogę jest bochenek chleba wytargowany za pierścione. Mają co jeść, zanim odnajdą szwagra. Bo szwagier przed powstaniem coś przeczuwał albo wiedział, wynajął w lecie stryżek na wsi gdzieś w okolicy tej Podkowy Leśnej i chyba jest tam jeszcze z żoną i teściową. Miały od niego wiadomości.

Ta podróż nocą nie pozostaje im w pamięci. Chwilami chyba drzemią na siedząco. Boją się myśleć o czymkolwiek, bo myśleć można tylko o najgorszym. Maria się zastanawia, jak ukroi chleb, nie mając noża. Pytać nie będzie, kto ma nóż, chlebem się przecież nie podzielią z nikim. Świta. Wkrótce okaże się, że dalej już nie jadą. Chłop boi się i koń zmęczony nie da rady. Podkowa Leśna niedaleko. Brwinów też, więc złączą z wozu po kolei. Maria bezradna, zrozpaczona, nie wie, gdzie są. Muszą iść dalej same. Dadzą radę. Bagaż to tylko kołdra i poduszka. Mają na sobie ciepłe płaszcze, które zdążyły chwycić, wybiegając z domu. Mijają jakieś gospodarstwo. Ktoś już nie śpi, wychodzi z wiadrem na dwór. Maria mówi niegłęboko:

– Proszę pani.

Kobieta nie jest zaskoczona.

– Co tam?

– Czy do Żółtina tędy? – pyta Maria.

– Za lasem – mówi tamta, wykonując niewyraźny gest. Maria prosi o wodę. Kobieta niezdecydowana, wreszcie wynosi wyszczerbiony kubek, idą do studni, piją wodę z wiadra.

Uczucie ulgi, a więc są już blisko. Na miejscu znajdą szwagra. Pewno porobił znajomości. Umiał poradzić sobie w każdej sytuacji. Rzadki sosnowy las, piaszczysta droga, wydaje się, że lżej się będzie szło pomimo niepew-

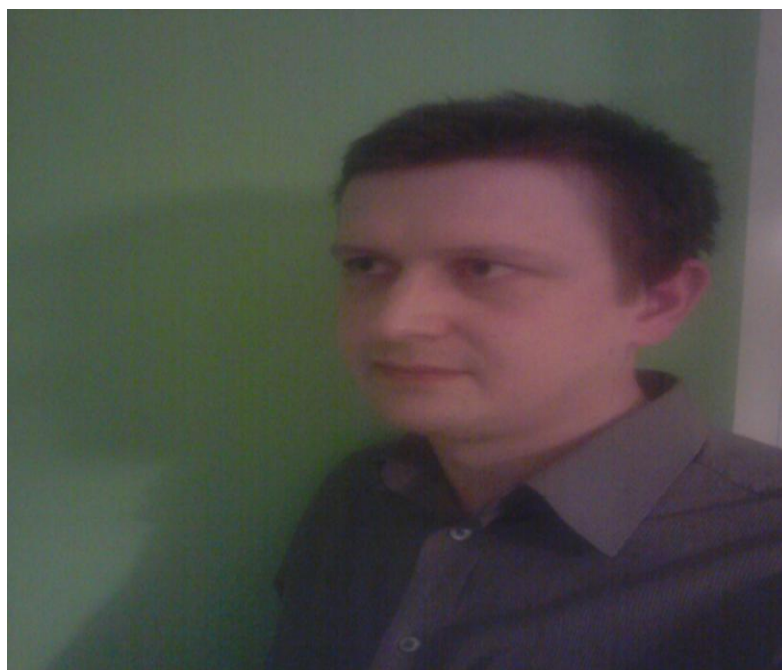
ności, co ich czeka. A jeśli tam nikogo nie ma, to co wtedy? Las jakby nie miał końca. Wreszcie jest prześwit, widać wieś.

W domu, którego numer znały z listu (to niby wieś, ale jak gdyby jeszcze miasto) Maria pyta kobiety, która stoi w drzwiach, czy mieszka tu pan S... .

– Panie Stasiuuu – krzyczy kobieta.

– Już idę, schodzę – słyszą męski głos.

Szwagier jest zaskoczony i wzruszony. A więc przeżyły. Lecz czy się cieszy, czy się boi? Nie wiadomo. Prowadzi ich na górę. Mieszkają w klitce. Nieźle nawet. On, żona i teściowa, dziecko. Witają się i płaczą. I co teraz? Teściowa widać zaniepokojona. Maria wie... Będą ciężarem dla rodziny.



## Łukasz Szteleblak

Ur. 1984. Prawnik. Na jego dorobek literacki składa się dramat jednoaktowy *Oddzwonimy do pana* (nagroda Fundacji Młodych Twórców im. P. Dobrowolskiego w Katowicach, tekst wystawiany przez amatorskie grupy teatralne „Dwa Teatry” z Wrześni i „Podaj dalej” z Kalisza) oraz opowiadania publikowane w kwartalniku „Wyspa”, „Inter-” oraz na portalu Fabrica Librorum. Debiut w druku: opowiadanie *Niedzisiejsi* w antologii opowiadań (2012). W kręgu zainteresowań głównie sceny z życia polskiej prowincji.

# Orgia w Wydziale Geodezji

Właściwie nie wiadomo, gdzie zrodził się pomysł, ale w trakcie urlopu wójta postanowiono: w poniedziałek, między godziną dwunastą a czternastą, w wydziale geodezji odbędzie się orgia seksualna. W tym czasie urzędnicy, w innych celach niż erotycznych, petentów nie przyjmują.

– Orgia nie dotyczy pracowników Wydziału Komunikacji – dopowiedziała sekretarz Malinowska na spotkaniu ogółu urzędniczego, gdzie omawiano szczegóły akcji. – Czy są jakieś pytania?

Urzędnicy zerkali po sobie. Wymieniano spojrzenia pełne zaciekawienia, wstydu, a nawet nieznośnego oczekiwania.

Odkąd idea orgii przyjęła się w urzędzie gminy Wistków i nieco spowszedniała, nikt nie zastanawiał się czy, ale kiedy i jak: spontanicznie, a może w trakcie rokowań, bez zabezpieczeń czy po szkoleniu BHP, a jakie kworum będzie wystarczające, a czy wypada przyjść z osobami towarzyszącymi...

Wówczas to naczelnik Kuklis z Wydziału Komunikacji podniósł rękę i lekko zakłopotany zapytał:

– Ja mam pytanie w imieniu wszystkich pracowników Wydziału Komunikacji... Hm... Może zapytam wprost: dlaczego pracownicy Wydziału Komunikacji zostali wyłączeni z planowanej orgii?

Sekretarz Malinowska wzruszyła ramionami:

– Z tego co pamiętam, ta kwestia była już wyjaśniana...

– Pozwolę sobie nie zgodzić z panią sekretarz – grzecznie odniósł się naczelnik Kuklis. – Dotychczas

omówiono inne szczegóły, a zagadnienie pomięcia mojego wydziału z wydarzenia także zostało pominięte.

– Hm... Wydaje mi się, że takie było założenie już w chwili ustalenia o samej orgii. Po prostu.

– Jak to po prostu? – zdziwił się Kuklis. – Działamy w granicach prawa, więc wyłączenie nas...

– Przepraszam, ale orgia wychodzi poza zakres naszych urzędniczych obowiązków – włączył się radca Wałędziak. – Nastąpi w przedłużonej przerwie w pracy, więc uczestniczący w niej sami mogą zdecydować, kto w niej weźmie udział.

– To tłumaczenie mnie nie zadowala – odparł naczelnik Kuklis.

– Na szkolenie o środkach unijnych do Koszalina też nie pojechaliśmy – włączył się referent Górski. Na jego twarzy malowała się niezwykła zaciekleść i determinacja.

– Oczywiście, powiadomię wójta o państwa uwagach. Wójt ustosunkuje się po przyjeździe z urlopu.

– Ale to za tydzień, a orgia ma być w poniedziałek!

– Niestety, nic więcej nie mogę zrobić. A zresztą o wyłączeniu Wydziału Komunikacji zdecydował także wójt – przypomniała sobie sekretarz Malinowska. – Mam tu jego notatkę, proszę, czytam: Orgia w Wydziale Geodezji, nie dotyczy Wydziału Komunikacji. Proszę spojrzeć, naczelniku Kuklis.

Naczelnik sprawdził notatkę przekazaną przez panią sekretarz, po czym stwierdził:

– Będę interweniował u wojewody, to wszystko jest niegodziwe!

\*\*\*

Wątpliwe, by stało się to wynikiem działań tylko naczelnika Kuklisa, niemniej o planowanej orgii dość niespodziewanie zrobiło się głośno. Temat podjęła prasa lokalna.

Referent Smolarczyk przerwała pilne rozmyślenia sekretarz Malinowskiej na tematy okołobiadowe:

– Redaktor Sianecki do pani... W sprawie orgii.

– Ech, dziennikarzyny. Na siłę szukają sensacji. Spławię go na korytarzu.

Przez kilka minut tygodnikarz Sianecki na korytarzu urzędu wypytywał sekretarz Malinowską o szczegóły akcji. Pani sekretarz nie zdradzała zbyt wiele:

– Właściwie, zobaczymy jak to wyjdzie. Nie mamy w tych sprawach doświadczenia. W ramach przygotowań czytamy relacje z czasów rzymskich.

– Ile osób planuje wziąć udział w tej... inicjatywie?

– Możemy pochwalić się liczną kadrą administracyjną. Dodatkowo, w tym roku, wobec groźby ustawy o odchudzeniu administracji, przyjęliśmy wiele nowych, interesujących twarzy, więc myślę, że około osiemdziesięciu urzędników weźmie udział. W samym wydziale spraw obywatelskich jest jedenaście osób zajmujących się wyłącznie sprawami lokali socjalnych. Zresztą osoby z lokali socjalnych również zapraszamy. Do tego dochodzą stażystki. – W tym momencie obok sekretarz przechodził przypadkowo naczelnik Kuklis, więc pani sekretarz z lekką drwiną nie omieszkała dodać: – W orgii nie wezmą udziału tylko pracownicy Wydziału Komunikacji, którzy będą pracować w tym czasie normalnie. Więc jeśli ktoś chciałby wtedy, na przykład, przerejestrować auto, będzie to również możliwe.

Naczelnik Kuklis zatrzymał się wówczas, z trudem powstrzymując napad wściekłości:

– Zobaczmy jeszcze! Powiadomiłem kogo trzeba! Zwizytują was, zlustрую! Zboczeńcy!

\*\*\*

Niedościgły w swym zaciętrzewieniu naczelnik Kuklis zainteresował sprawami urzędu wielmożnego wojewodę, a także ekscelencje z regionalnej izby obrachunkowej. Niestety – dla naczelnika Kuklisa, nie dopatrzono się uchybień.

Sprawę z innej strony ukłuł redaktor Sianecki, podczas rozmowy z szacownym przedstawicielem wielmożnego wojewody:

– Czy sprawa orgii w Urzędzie Gminy w Wistkowie nie budzi żadnych zastrzeżeń?

– Proszę mi wierzyć: zbadaliśmy tę sprawę bardzo dogłębnie i nie mamy większych uwag. Na ten przykład, w celu zakupu dwudziestu kilogramów chusteczek i środków nawilżających ogłoszono przetarg, gdzie wybrano sprzedawcę oferującego najniższą cenę. To prawidłowe zachowanie urzędu jako organizatora przetargu.

– Tak, a kwestia tego, że wśród urzędników jest wiele osób skoligaconych ze sobą, to czasem szwagrowie, matki i córki, wujkowie i bratanice...

– Wiemy o tym. Ale jak sprawdziliśmy, wszyscy mają odpowiednie kompetencje.

– Bardziej mam wątpliwość w zakresie tego, czy nie dojdzie do stosunków kazirodczych...

Szacowny przedstawiciel wojewody spojrzał zdziwiony:

– Najważniejsze są przecież kompetencje i jak są wykonywane obowiązki. Przecież nie możemy wykluczać kogoś tylko z tego powodu, że jest z kimś spokrewniony.

– Nie do końca o to mi chodzi.

– To niech się pan wyraża jaśniej, redaktorze!

– Dobrze, z innej beczki. Pojawiają się także wątpliwości, czy urzędnicy mogą sobie na to pozwolić, czy to ze względów moralnych czy finansowych? W końcu ma dojść do przedłużenia przerwy w pracy.

– To też zbadaliśmy. Sprawy w tym urzędzie wykonywane są na bieżąco, nie ma większych opóźnień.

– To wyśmienita informacja, na pewno ucieszy naszych czytelników – odparł z przekąsem redaktor. – Mówi się również, że urząd jest przepełniony, zawiera wiele niepotrzebnych stanowisk. Nawet teraz utworzono koordynatora do spraw orgii.

– Tak, ale koordynatorem została pani sekretarz Malinowska, czyli nie przyjęto nowej osoby. Pani sekretarz wzięła na siebie dodatkowe obowiązki.

Sianecki westchnął głęboko:

– Czyli w opinii organu nadrzędnego, nie ma przeciwwskazań dla tej orgii?

– Powiem panu więcej: ta sprawa z uwagi na jej społeczny rozdźwięk znalazła się pod naszą szczególną uwagą. Dodatkowo, żeby uciąć wszelkie podejrzenia i dopilnować prawidłowości oraz poszanowania prawa, zobowiązałem się sam wziąć udział w tej orgii, oczywiście jedynie jako obserwator, razem z dwoma pracownikami urzędu kontroli skarbowej, eksceleńcją z regionalnej izby obrachunkowej oraz dziesiątką czcigodnych magnificencji samorządowego kolegium odwoławczego.

– No tak, to na pewno także uspokoi i ucieszy naszych czytelników – odparł Sianecki z pewną dozą złośliwości, której na szczęście nie zauważył szacowny przedstawiciel wojewody.

\*\*\*

Ludzie z miasteczka w kwestii orgii byli podzieleni. Niektórzy twierdzili, że w głowach się poprzewracało; inni nie mieli nic przeciwko; jeszcze inni twierdzili, że do niczego nie dojdzie. Ksiądz grzmiął z ambony popierany przez nawróconego ostatnio naczelnika Kuklisa; starsi krzyczeli z oburzenia.

W dniu orgii pani Kwiatkowska z wydziału spraw obywatelskich zrobiła kanapki, przygotowała napoje i soczki.

W Wydziale Geodezji od rana trwało wielkie poruszenie; wyprowadzono biurka i szafki na korytarz, salę obłożono miękkimi materacami.

Około jedenastej zaczęli zbierać się ciekawscy obywatele: pojedynczo, parami, w większych grupach, ktoś przyprowadził psa.

– Obawiam się, że sala jest za mała – zachmurzyła się referent Smolarczyk.

– Zmieścimy się, jeszcze tą szafeczkę... Szybko, szybko – poganiał naczelnik Supętkowski z Wydziału Geodezji. Czuł się jak gospodarz wydarzenia; z radością patrzyło się na jego zaangażowanie.

Podniecenie rosło, nawet masło zdawało się rozpuszczać na kanapkach.



I tylko w nieodległym wydziale komunikacji pracownicy snuli się ponurzy jak cienie. Nie było tego dnia jeszcze żadnego petenta...

\*\*\*

Orgia udała się wyśmienicie, kanapek nawet nie spróbowano. Przybyli nie mogli się nachwalić organizacji i sprawności urzędników. O liczbie obsłużonych petentów przez referent Smolarczyk szybko zaczęły krążyć legendy.

Po tygodniu wrócił z urlopu wójt Gaweł Pawłowski, opalony na Maderze jak bohater westernu.

W progu powitał go lokalny przedsiębiorca Maier:

– Witam wójta, jak urlopik?

– Dziękuję, wcale nieźle...

– Ja, proszę wójta, z taką skromną propozycją organizacyjną dla urzędu.

– No słucham? Znowu będziecie mi truć o szerzącej się biurokracji, pęczniejącej kadrze, co?

– Nie, bynajmniej, wójcie! Ja wychodzę z propozycją, że jakby co, jakbyście jakiejś sali potrzebowali, to ja udostępnię swój pawilon w centrum.

– Jak to?

– Nieodpłatnie, ma się rozumieć! No i można by przyjąć jeszcze kilku urzędników, no – urzędniczek... Z dziesięć. Planujemy już samoopodatkować się w tej sprawie. Dla dobra społeczności lokalnej, oczywiście.

– Że co? Żarty jakieś?

– Nie, naprawdę...

– A gdybym wam powiedział, że córkę tu zatrudnię, co? Studia kończy... Nie polecilibyście do Sianckiego z newsem o nepotyzmie?

– Córkę? Panią Kasię? O, brawo! Tak! Trzeba ją zatrudnić, koniecznie! Tylko nie do Wydziału Komunikacji.

– Ech, panie Maier, coś sobie pan dworuje ze mnie... Do widzenia!

– Nie żartuję... Skąd! Proszę pamiętać o mojej propozycji! Niech żyje gmina, powiat, wszystkie stany!

Wójt doszedł do swego gabinetu i przywitał się z sekretarzem Malinowską. Pan wójt, myślami jeszcze błądzący po plażach Madery, nie skojarzył zupełnie, że pani Malinowska ubrana jest cokolwiek niestosownie do pracy biurowej, mając tylko prześwitującą bieliznę na opasłym ciele.

Wójt przejrzał rubrykę sportową w gazecie, gdy nagle wzrok jego oprzytomniał i zatrzymał się na pani Malinowskiej:

– Hm... Pani sekretarz?

– Tak, panie wójt?

– Czy mi się wydaję, czy coś się stało z pani garderobą...

– Nie, ja jestem w bieliźnie.

– Co?! Dlaczego?! – wykrzyknął niespodziewanie wójt.

– Proszę, to panu może podpowie... – zamrugła frywolnie, podrzucając zszokowanemu wójtowi kartkę z informacją o orgii w Wydziale Geodezji.

– No i co? To moja notatka dla informatyka.

– Informatyka? – zdziwiła się sekretarz. – Przecież tam jest napisane „Orgia w Wydziale Geodezji”. Wszystko zostało wdrożone, panie wójt.

– Co? Tu jest „org. i a”. Po „org” jest kropka, do licha! To wiadomość dla informatyka Staszka, którą miałem mu zostawić! „Organizacja i administracja w Wydziale Geodezji”. Chodziło o system komputerowy, który miał zainstalować... Wydział Komunikacji miał zostać przy starym systemie. Co tu się działo w ogóle, co?

Sekretarz Malinowska wzruszyła ramionami:

– Pan takie dziwne skróty pisze! Przecież napis jest jednoznaczny! Jako urzędnik muszę się ściśle stosować do litery prawa!

– Litery prawa? Jak mogliście w ogóle pomyśleć o jakiejś orgii? Nawet jakbym polecił ją przygotować, to przecież należy się zastanowić nad celowością przepisu, prawda? Czy pani nie rozumie, na czym polega nasz urząd, misja urzędnika?

W odpowiedzi pani sekretarz patrzyła na wójta takim tępym wyrazem, jakby w ogóle nie wiedziała o czym on mówi. Nagle znów obwieściła z żalem:

– A skąd ja mam wiedzieć? Nie mieliśmy z tego szkolenia!

Wójt westchnął smutno.

W głowie szumiały jeszcze wody Madery, nie słyszał więc dziwnego trzeszczenia konstrukcji budynku, w którym się znajdował.

Urząd pękał w szwach jak bielizna na ciele sekretarz.



# Emilia Walczak

Ur. 1984 w Łodzi. Autorka książek *Fake, czyli konfabulacje zachodzą na zakrętach* (2013) i *Hey, Jude!* (2015). Prozę publikowała w kilku periodykach literackich, a także w 2014. *Antologii współczesnych polskich opowiadań* Wydawnictwa Forma i 3. zeszycie *Czytanek miejskich* wydawanych przez Miejskie Centrum Kultury w Bydgoszczy (*Skrzyżowanie świata. Opisanie pięciu ulic dla Georges'a Pereca*); recenzje m.in. w „Zeszytach Komiksowych” i „eleWatorze”; felietony, wywiady – w „Bydgoskim Informatorze Kulturalnym”, którego jest też redaktorką prowadzącą. Napisała teksty piosenek dla zespołów: George Dorn Screams, BRDA i Low-Cut. Członkini zespołu redakcyjnego kwartalnika „Fabularie”.

## Rudbokie

Moja szokująca ludzi decyzja o wyprowadzce z miasta na wieś zbiegła się w czasie z, już mniej szokującą dla kogokolwiek, decyzją o sprzedaży mojego starego mieszkania, które od jakiegoś czasu i tak stało puste. No, może nie tak do końca puste, bo mieszkał w nim grzyb. Ów trudny do zapomnienia, arogancki grzyb o... kulturalnych zamiłowaniach, o dziwacznych predylekcjach literacko-muzycznych. Brzmi to być może dość niecodziennie, lecz...

Z grzybem owym było tak, że najpierw, niby nieśmiało, acz bez pytania mnie o zgodę, zaczął sięgać ze ściany po płyty winylowe. W porządku, to jeszcze mogłam mu w sumie wybaczyć, wszak większość z nich i tak pochodziła z głębokiego undergroundu. I to nie tylko tego undergroundu w znaczeniu symbolicznym – z muzycznego podziemia – lecz również w znaczeniu czysto fizycznym. Krążki te po prostu, sądząc po ich niezbywalnym nijak zapachu, przechowywane być musiały przez ich poprzednich posiadaczy w piwnicy. Nie mogłam grzybowi odpuścić natomiast jego nagłego, pewnego dżdżystego dnia okazanego zainteresowania literaturą z wyższej półki. Nie, tego już było za wiele! Wtedy to właśnie, wraz z zawilgoconymi płytami i książkami o pofałdowanych (od łez, mógłby kto pomyśleć!) stronach i okładkach (biedne tomiszcza, no ale cóż, w końcu *habent sua fata libelli*), przeprowadziłam się, może nie z dnia na dzień, lecz na pewno z tygodnia na tydzień, do bloku, do mojego *pied-à-terre* numer dwa, alternatywnego (rodem z *Alternatyw 4*), które jakimś niesamowitym zrzędzeniem losu zwolniła akurat wynajmująca je ode mnie para studencka seksualnej orientacji hetero. Bo niby za daleko mieli na wydział, ale ja już swoje wiem.

Zuchwały grzyb pozostał od tej pory sam, za karę, w kamienicy. I śmiem podejrzewać, że było mu to na, coraz dalej sięgającą i wciąż więcej i więcej zagarniającą, grzybiczą rękę.

Lecz to, krótkie, bo krótkie, lecz jednak wystarczająco długie, bym mogła wyciągnąć zeń wnioski i konsekwencje, życie półroczne w domu z betonu – nawet jeśli bywała w nim czasem jakaś wolna miłość – to nie moja jednak bajka. Klaustrofobia, z dnia na dzień i z tygodnia na tydzień przybierająca na sile, wraz z nieubłaganym upływem czasu i wody ze wciąż ciekącego kranu, stała się w końcu nie do zniesienia. No więc, postępując zupełnie odwrotnie niż uczynił to onegdaj pewien król o ksywie nader często wykorzystywanej w moim rodzinnym, średniej wielkości mieście w celach toponimicznych, postanowiłam pewnego dnia, a właściwie nocy, spakować się i pozostawić Polskę A murowaną, a zastać ją drewnianą, w hierarchii społecznej spadając z betonowego muru prosto na zbutwiałe dechy. Mówiąc krócej i już mniej metaforycznie, przenieśliśmy się z klaustrofobicznego *pied-à-terre* w bloku do dawnego, z drewna na wsi kociewskiej wzniesionego domu świętej pamięci dziadków od strony matki – nazwiska panieńskiego Szturm de Hirszfeld – który do tej pory, przez siedem tłustych lat służył takież pani Aurelii, ich dawnej sąsiadce, za... graciarnię. Taki oto serwitut nadała jej bowiem wspaniałomyślnie matka ma po śmierci dziadków w zamian za „oko na dom” i za „baczenie”, a teraz nagle ja, przemocą niemalże, jej go odbieram, chcąc zadekować się tu przed bożym czy też właśnie – przed bezbożnym światem...

Cóż, od tej pory miałyby nastać dla niej lata trudne ze mną i chude. I to się nawet kupy trzyma, gdyż jest ona katoliczką. A przynajmniej katoliczką z tego, jakże licznie w naszym niełatwym klimacie występującego, gatunku rytualnego. *Homo ritualis* – cechy szczególne: słaby wzrok (miopia, widzenie tylko w czerni i bieli), długi, jadowity język kolportujący na lewo i prawo (zwłaszcza na prawo!) złośliwe plotki, twarda głowa, brak kręgosłupa.

Cukier w kostkach, ceraty w kwiaty, białe plastikowe doniczki, w doniczkach drzewka szczęścia i na wpół żywe, wymęczone paprocie, a nad tapczanem obowiązkowo makata, ślubne monidło oraz portret JP II.

(Żeby nie było – nie mam nic do cerat, wręcz przeciwnie – uważam je za wysoce praktyczne i takie jakieś vintage’owo-urokliwe)...

\*\*\*

Gdy nie bez trudu udało mi się poprzekręcać zapieczone zamki w dawnym domu świętej pamięci dziadków od strony matki nazwiska panieńskiego Szturm de Hirszfeld i w końcu wejść do środka, dzierżąc w dłoniach i niemilosiernie pocąc się od tego dzierżenia (wszak upalne lato było) dwie wielkie walizy (tyle co w nich miało mi na razie wystarczyć, dopóki nie zorganizuję transportu wszystkich swoich kłopotów) – powitała mnie ciemność. (Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że już niebawem przywita mnie we wsi również ciemnota). Kiedy odsłoniłam szare starym kurzem portiery, te ciemne, skłębione zasłony, ciężkie niczym jakieś festony z cementu, zdałam sobie sprawę z tego, że długa tu przede mną droga przez mękę do uzyskania za pomocą niemieckich detergentów ukrytych w walizach krystalicznej czystości mojego nowego lokum (którego remont zamierzałam później przeprowadzić za pieniądze ze sprzedaży kamienicznego mieszkania z grzybem audiofilem i z wynajmu klaustrofobicznego *pied-à-terre* w bloku).

Wnętrze rustykalnego domu pachniało żywiczno-sosnowym pokostem, myszami i owym starym kurzem, który kilkumilimetrową warstwą pokrywał podłogę i wszystkie pozostałe tu po dziadkach nieliczne sprzęty – wyblakłą serwantkę o odpadającym jak chora skóra lakierze, zdezelowaną komodę, na komodzie rozrzucony zestaw nadpalonych drewnianych warząchwi, stół, na stole karafkę ze rżniętego szkła, za życia dziadka zawsze pełną smorodiniówki własnej roboty, teraz pustą, wazon z emaliowanej blachy, za życia babki zawsze pełen świeżo ścię-

tych w ogrodzie, żółto-pomarańczowych rudbekii, teraz pusty, na ścianach kilka obrazków z wystawy sklepu Cepelia – oddział Tczew – oraz spetzle od kiedy tylko pamiętam lustro. I tak dalej, i dalej, i dalej... Duperele praktycznie bez znaczenia nawet dla pani Aurelii, która, widać, nimi wzgardziła, zabierając z domu dziadków od strony matki nazwiska panieńskiego Szturm de Hirszfeld jedynie swoje bambotle – poinformowana wcześniej o mym przyjeździe telegraficznie (tak, tak, coś takiego nadal istnieje) – natomiast dla mnie mające niepomiarłą wartość sentymentalną.

\*\*\*

To była akurat niedziela, pierwsza niedziela reszty mojego niespokojnego życia. Nie zdziwiły mnie więc jakoś przesadnie, wypowiedziane z kontenansem zza drewnianego, kładącego się płotu, słowa pani Aurelii, oznajmiające mi i całemu światu (bo bardzo głośno krzyczała), że:

– Odprasowane portki mają rant jak żyletki!

Spojrzałam najpierw na nią, potem na swoje wymięte szare lniane spodnie i zaraz, całkiem bezrefleksyjnie, wróciłam do mycia, a właściwie to do szorowania szyb niemieckim detergentem przywleczonym tu, na kociewską wieś, w, łuszczących się już z lekka, skórzanych walizkach. Nie miałam pojęcia, co mogłabym jej odpowiedzieć.

– Jak trzeba, to ja żelazko pożyczę. Tylko duszę trza by rozgrzać!

„Aha, a więc nie jest tak całkiem bezduszna” – pomyślałam z przekąsem i z bardzo wątlwym poczuciem humoru...

– Dziękuję bardzo, ja nie używam żelazka. Dobrze czuję się w pogniecionym.

Chciałam jeszcze dodać, że pogniecione ubranie bardzo dobrze oddaje mój umęczony stan wewnętrzny, ale w ostatniej chwili ugryzłam się w język, który był już od



tego całkiem zmaltrretowany jak jakiś ubity niedzielny kotlet.

– W niedzielę nie trzeba pracować, oj, nie trzeba... – pokręciła głową pani Aurelia i z rezygnacją wróciła do swojego domu urokliwie zapadającego się pośród dojrziałych mirabelek i wiśni.

To było rano, a ja zaraz zmartwiłam się, jak ogromne będzie zapewne jej rozczarowanie moją nieobecnością na południowej – obowiązkowej tu dla wszystkich, bez wyjątku – mszy. Czy świętej, to nie mam pewności. Zbyt często szasta się u nas w kraju tym słowem: święty. Ja również szastam, mówiąc z rozpędu o dziadkach: świętej pamięci. Co to w ogóle miałyby znaczyć?!

Oraz zmartwiłam się też tym, że pojawienie się takiego jak ja odszczepieńca, takiego podejrzenie śniadego habesza, w tak hermetycznej i tak monolitycznej, i małej, i chrześcijańsko białej, teokratycznej społeczności może poskutkować czymś bardzo niedobrym. Mówiąc dość oględnie.

I nagle, ni stąd, ni zowąd, przypomniała mi się taka oto wylicznanka:

„kajańska obroza i wymyślna kreza  
ikonokłaści i bałwochwalczy  
tonsurą i plereza  
jest emzetkaes Arka Gdynia  
i jest Arka Przymierza  
jest zawsze plus i minus  
teza i antyteza”

\*\*\*

Cóż – tak jak przewidziałam – niedobrze we wsi z mojego powodu było, o krok od linczu w zasadzie, jak się niestety później okazało, a właściwie o kilka kroków, jakie dzieliły mnie od rozszalałej kościelnej hordy...

Ale od początku.

Gdy już jako tako doszorowałam te okna za pomocą niemieckiego detergentu przywleczonego do kociewskiej

wsi w, łuszczących się już z lekka, skórzanych walizach, zrobiło się południe i gorący słoneczny blask wlał się przez w miarę czyste odtąd szyby do środka zatęchłego domu.

Jako że o trzynastej zwykłam jadać obiad, a na zegarze z kurantem wybiła akurat także godzina, postanowiłam wybrać się do pobliskiego markeciku po wino. Tradycyjnie. Ponoć w umiarze to zdrowo na wątrobę i ogólnie – na wszystko, również na skołatanę nerwy.

Markecik znajdował się na drugim końcu wsi, musiałam więc w drodze doń przededefilować tuż obok kościoła, w którym akurat odprawiana była msza św... W którym akurat odprawiana była msza.

Idę więc, a z drewnianej kaplicy rozlega się tubalne „jezujezujezubarankuuu!”.

W sklepie z kolei wybór win był dość wąski, po prostu: czerwone albo białe. (Podobnież ser: tylko biały lub żółty, pani...). Jako że czerwone jakoś tak niefortunnie skojarzyło mi się z krwią nadaremnie zarzynanego barana, szybko chwyciłam pierwszą z brzegu mizerną podróbkę węgierskiego „Tokaju”. No i wracam z tym winem, tak jakoś profilaktycznie starając się je ukryć w za małych do tego celu, w ogóle za drobnych do bycia życiowo praktyczną, dłoniach i znów słyszę gromkie zaśpiewy, tym razem: „booozeeeeojczeee!...”. Przyśpieszam kroku – tego typu modły przyprowadzają mnie bowiem o mdłości oraz gęsią i pomarańczową skórkę. A wiek mój jest już taki, że trzeba na takie rzeczy zwracać znacznie bacniejszą niż kiedyś uwagę...

No i niestety – co się okazało? Że taki jak ja podejrzany, ateuszowski jakiś uciekinier w szanującej się wsi kociewskiej, w dodatku w nieodprasowanych przy niedzieli, szarych lnianych spodniach, nie może pozostać przez nikogo niezauważonym... I jeszcze z tą bulgoczącą butlą wińska pod pachą!

Najpierw wskazał mnie palcem lekko niedorozwinięty chyba, około dziesięcioletni chłopiec stojący z tłumkiem niemieszczącym się już w budynku kościoła, urywając artykułując jakieś swoje nie do odszyfrowania nawet przez Mariana Rejewskiego „yyy-e-e”. Później

z każdą chwilą czułam na sobie, niczym pijawki, coraz więcej par oczu wlepiających we mnie swe złowrogie spojrzenia, oburzonych, nie, wściekłych – bo spojrzeniom tym zaczęły w końcu towarzyszyć również i wyzwiska, takie jak między innymi: „Szatan, džender, hańba, bezwstyd-ni-ca. Przy niedzieli nie w kościele. I alkoholizować się jeszcze chce! Pod okiem boskim Jezusa Chrystusa, Pana naszego, amen. Dziwka, palikotowa, hubba bubba...”.

Z tą hubbą bubbą to już poleciały w moją stronę akurat pierwsze kamienie i kilku wrzeszczących odpapierosowym basem autochtonicznych chłopów z kijami. Ale nic to. Szybko dobiegłam do domu, zatrzasnęłam się w jego dusznym środku i pośpiesznie, a dobitniej i bardziej zgodnie z prawdą rzecz by należało: histerycznie, spakowałam swoje rzeczy, nie chcąc tu zostać ani chwili dłużej, w głowie mając ten niedawno, całkiem niepotrzebnie obejrzany, straszny film produkcji o dziwo polskiej – *Pokłosie*...

Wyleciałam z walizami tylnymi drzwiami prosto w pole kukurydzy, której ostro obrzeżone liście z lekka mnie ponacinały tu i ówdzie jak jakąś smażoną kiełbaszkę – za którym to polem już za chwilę czekał na mnie, majestatyczny i niczym przez dziesiątki lat niewzruszony, nawet wojenną zawieruchą, latami komuny i później galopującego kapitalizmu, ceglany gmach dworca Polskich Kolei Państwowych.

Usiadłam w pustej poczekalni z szachownicową posadzką, w tej patowej sytuacji cała złana potem, i czekałam, aż mój oddech się uspokoi i aż w końcu nadjedzie jakiś pociąg-arka, pociąg-wybawiciel.

Aż tu nagle! Ta niepokojąca, hektyczna myśl: czy ja faktycznie, jeśli jakikolwiek Bóg jednak istnieje, skazana jestem na wieczne potępienie?! I dlaczego tak – dlatego, że mam odmienne od masowego poczucie przyzwoitości? A może? A MOŻE...?! W końcu: *vox populi, vox Dei*, mówią...

Spojrzałam w okno – jakimś cudem, mimo że na zewnątrz było wciąż przecież bardzo jasno, odbijała się w nim moja strwożona, mało słowiańska twarz.

Oczy miałam wielkie i szklane łzami jak przerażone cielę idące na rytualną rzeź.



# Magdalena Wlekkik

Scenarzysta, reżyser filmowy, reżyser słuchowisk Polskiego Radia, wykładowca IBL PAN. Zadebiutowała w Teatrze Telewizji tekstem dramatu *Żółtodzioby*. Autorka powieści *Szykuj się do odlotu* i wielu opowiadań. Członek Stowarzyszenia Filmowców Polskich.

## **Dobrze z tobą pobyć sobą**

Idąc ulicą, zobaczyłam siebie. Poszłam dalej wzdłuż linii ciała. Za kolanem apteka.

– Dzień dobry. Proszę coś na rozdwojenie.

Aptekarka spojrzała za mnie, pode mnie i nade mną.

– Bliźniaki znowu chorują? – spytała, wyjmując fiolkę z szuflady.

– Że akurat mnie się to przytrafiło. Nawet wyskoczyć ze mnie musieli naraz. Wyobraża sobie pani, jak mnie rozerwali? Lekarz zszywał pół dnia. Mówił, że serwetę na stół wielkanocny szybciej się dzierga. A ksiądz na religii mówił bliźniakom ostatnio, że jak mnie wyprawiają na tamten świat, to święty Piotr...

Dzwoni komórka. To bliźniaki. Pokazuję ekran aptekarce. Niech się dobrze przyjrzy. Telefon nówka sztuka.

– Nie pamiętam nawet, jak się nazywam – skwitowałam i odrzuciłam połączenie.

Aptekarka weszła do szuflady i wyszła z fiolką z lekarstwem. Zanim podała, zmierzyła mnie wzrokiem od góry do dołu i od lewej do prawej.

– Mam tu coś specjalnego – powiedziała. – Czy mogę pani zaufać?

Moja komórka znowu zabrzęczała. Wyciszyłam dźwięk.

– Udaję, że mnie nie ma. – wyjaśniłam. – I co z tym lekiem?

– Jest droższy, ale skuteczny. Reklamują go hasłem, że dobrze z tobą pobyć sobą.

– Biorę!

Wybiegłam z apteki i gdzieś koło łokcia pomyślałam, że chyba sobie łyknę ten proszek. Od razu dwa, żeby podziało, bo w sumie – dzieci jak dzieci, są przyszłością narodu. Trzeci proszek też w sumie nie zaszkodzi.

Smaczne. Dzieci jak leci, są przyszłością na rogu. Przeskakując przez splot słoneczny, połknęłam ostatnią tabletkę z fiołki. Stałam w drzwiach do samej siebie. Bliźniaki właśnie się gryzły.

- Cześć, chłopaczki.
- ... (zdziwienie)
- Byliście grzeczni?
- ... (zakłopotanie)
- Co się stało?
- Mamcia?

Mrugali oczami, patrząc przeze mnie. Zdjęłam płaszcz. Wchodząc do pokoju, zawadziłam o próg wytrzymałości na życie.

– Mamciu? Powiedz świętemu Piotrowi, żeby cię dobrze wyprawił. To z przyrody dostaniemy piątki.





W BIBLIOTECE „INTER-”  
dotychczas ukazały się:

Seria poetycka

***Młody Toruń poetycki. Antologia,***  
red. i wstęp Tomasz Dalasiński i Radosław Sobotka,  
posł. Radosław Sioma, Toruń/Nowa Ruda 2013.

**Piotr Sobolczyk, *100% ARABICA/chiNOISEry,***  
Toruń 2015.

**Piotr Sobolczyk, *100% ARABICA/chiNOISEry,***  
edycja kolekcjonerska, Toruń 2015.

**Petr Štengl, *Jak gdyby nigdy nic. Wybór wierszy,*** przeł.  
Anna Zajacová, Toruń 2016.

**Michał Ambrożkiewicz, *cukiereczki i misie,*** Toruń 2016.

Seria poetycka JEDEN

**Adam Wiedemann, *Karpie,*** Toruń 2015.

Seria krytyczna

***Poezja polska po roku 2000. Diagnozy-problemy-  
interpretacje,***  
red. Tomasz Dalasiński, Aleksandra Szwagrzyk i Paweł  
Tański, Toruń 2015.

***Seksualność w najnowszej literaturze polskiej,***  
red. Tomasz Dalasiński, Aleksandra Szwagrzyk i Paweł  
Tański, Toruń 2015.

***Nie w pierwszym szeregu. O poetach lat 90.,***  
red. Tomasz Cieślak i Tomasz Dalasiński, Toruń 2015.

***Dekada kultury 1989-1999,***  
red. Tomasz Dalasiński, Artur Jabłoński  
i Aleksandra Szwagrzyk, wyd. II, Toruń 2015.

***Rówieśnicy III RP. 89'+ w poezji polskiej,***  
red. Tomasz Dalasiński i Rafał Różewicz, Toruń 2015.

***Zapis czasu/czas zapisu.***  
***Rozmowy (nie tylko) o książkach,***  
red. Tomasz Dalasiński i Aleksandra Szwagrzyk,  
Toruń 2016.



Niniejsza książka, będąca zbiorem krótkich tekstów prozatorskich (ale co to są „krótkie teksty prozatorskie”? Czy to bardziej „proste formy” André Jollesa, „małe narracje” Mirona Białoszewskiego czy lapidarne opowiadania Lydii Davis?), powstała – w większości – jako pokłosie I Ogólnopolskiego Konkursu na Małą Formę Prozatorską „mikroMAKRO”. Na konkurs napłynęło sporo zgłoszeń, z których część postanowiliśmy nagrodzić, a nieco więcej opublikować w książce uroczycie otwierającej serię prozatorską Biblioteki „Inter-”. Do propozycji konkursowych dołożyliśmy kilka utworów „zamówionych”. W efekcie naszych działań powstała publikacja zawierająca teksty, których zasadniczy zwornik stanowi ich objętość – są to niewielkich rozmiarów utwory prozatorskie, ewentualnie: sytuujące się na pograniczu rodzajowym (gatunkowo nawet nie próbujemy ich dookreślać), o – naszym zdaniem – wysokiej wartości artystycznej.

Wychodzimy z założenia, że wielką literaturą jest zarówno *W poszukiwaniu straconego czasu* Prousta, jak i przypisywane Hemingway’owi ogłoszenie: „For sale: little shoes. Never worn”.

Przyjemnej lektury!

*Tomasz Dalasiński  
Łukasz Grajewski  
Rafał Różewicz  
Aleksandra Szwaagrzyk*

## PATRONATY

